№ 11. Warszawa, dnia 17 (5) Marca 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Dla uniknięcia opóźnień lub też braków w odbiorze pisma, abonenci nasi zechcą łaskawie pośpieszyć się z przesłaniem prenumeraty za nachodzący kwartał. Prośbę naszą polecamy ich uwadze z tem większym naciskiem, że znowu początkowe numery zeszłego kwartału wyczerpały się.

CZARNA RĘKA.

Niemcy mają swoich socyalno-demokratów, Austrya — socyalistów, Anglia — ligę rolną, Francya — radykałów, Włochy — internacyonałów, Ameryka — komunistów, Szwajcarya jest ogniskiem ruchu socyalistycznego, wszystkie drobniejsze narody i państewka kryją go w swem łonie, słowem cały świat cywilizowany czuje groźną gorączkę, która na jego twarzy wypieka niezdrowe rumieńce a w żyłach krew zakaża. Nareszcie i Hiszpania, jak gdyby dla przekonania, że sen Marxa się spełnił, pokazała Europie swoją „czarną rękę." Kto uważnie czytał wymowne karty dzieła Buckle'a, tego ona nie zdziwiła. Ciemnota, ucisk, nędza, olbrzymia nierówność ekonomiczna — wszystko to musiało sprzyjać zebraniu się wrzodu, który pękł przed kilku dniami — w Andaluzyi. Wybuch na chwilę stłumiono, ale jednocześnie otworzył się krater, który dymieć nie przestał i w którym wre rozpalona lawa. „Wypadki, które zaszły w Andaluzyi — rzekł deputowany z Kordowy, książę Almodovar — nie wystąpiły nagle i również nieprawdą jest, że są one wytworem doktryn z zewnątrz przyniesionych. Posiadanie ziemi koncentruje się w małej liczbie rąk a korzystanie z niej należy do małej liczby osób. To też w większej części Andaluzyi istnieją tylko dwie klasy społeczne, wysoka i niska: pierwsza żyje z renty, druga z nędznego zarobku. Proletaryat wiejski niema żadnego poczucia moralnego i żadnych zasad, a to jest skutkiem stosunków ekonomicznych, zakorzenionych zwyczajów i niedostatecznego wychowania. Posiadamy niższą klasę, która choruje, i wyższą, która także choruje. Dlaczego mamy o tem przemilczać, że wyższa klasa w Andaluzyi nie spełniła swego obowiązku, który polegał na umoralnieniu i oświeceniu mas?"

Dlaczego o tem przemilczać? Pytanie to, powołujące do rachunku sumienia, powtarza się wszędzie po każdym wybuchu i schodzi z porządku zagadnień bieżących po każdem zgaszeniu pożaru. Jest to faktem wysoce zastanawiającym, jak dzisiejsza Europa słabo uświadamia sobie ów ruch socyalistyczny, który ją ogarnął i który jej grozi gwałtownym przewrotem. Wsiąkł on we wszystkie żywioły, warstwy, stronnictwa. Popularna legenda zwykła go zamykać wyłącznie śród namiętnej młodzieży i klas robotniczych, dając mu za konieczny warunek pewne rozkiełznanie umysłowe i moralne. Śledzącym bliżej potężny ten proces wiadomo, że socyalizm zaszczepił się już na pniach najrozmaitszych, zarówno wolnomyślnych, jak konserwatywnych, ultramontańskich, a nawet rządowych. Dziś już tyle jest socyalizmów, ile wiar, a wszystkie one pracują nad zburzeniem dotychczasowej organizacyi społecznej. Niema dnia, ażeby na całym obszarze świata ucywilizowanego nie toczyła się ta główna naszej epoki walka. Gdy w Hiszpanii socyalizm wysuwa swą „czarną rękę," w Paryżu urządza zbiegowiska, w Anglii i Austryi odbywają się sądy nad jego wyznawcami. On i wiecznie on na pierwszym planie.

Jestże ów zarysowujący się kataklizm nieuniknioną koniecznością? Zależy to od warunków miejscowych i usiłowań zażegnania burzy. Godzimy się najzupełniej z twierdzeniem poważnego badacza tej sprawy, który sądzi, że rozumna, potrzebom czasu odpowiadająca działalność rządów i klas uprzywilejowanych może przedsięwziąć szereg reform, zapobiegających przyjściu „nowego królestwa" a nadewszystko gwałtownym przełomom. Jest w Europie mąż stanu, który zrozumiał logikę wypadków, ocenił niszczącą siłę socyalizmu i zapragnął ją w karby ująć — ks. Bismark. I on wszakże nie podołał zadaniu: przeszkodziła mu bądź starość, bądź skostniały upór. Socyalizm stał się już tem, czem go Marx mieć chciał — międzynarodowym. Te wszystkie „ligi," „czarne ręki" i tym podobne stowarzyszenia są członkami jednego wielkiego ciała. które daje napozór oderwane znaki życia, ale ciągle tworzy łączny organizm. Nie łudźmy się, że bunty w Andaluzyi, Dublinie lub Paryżu, to tylko choroby miejscowe; bynajmniej, to jest wysypka mniej lub więcej pokrywająca całą Europę. Gazety donoszą z naiwną wiarą, że policya „przywróciła porządek" i że zbiegowiska wywołane zostały nie przez lud, ale przez wyrzutków społeczeństwa, łowiących korzyści w mętnej wodzie. Ależ owe liche moralnie żywioły stanowią właśnie bezpośrednie i ciągłe niebezpieczeństwo. Gdy jakaś idea rozpostrze się szeroko, przyjmuje najrozmaitsze i najmętniejsze dopływy, które ją wylewają z brzegów i pchają do zniszczeń. Socyalistami są dziś nietylko

unikający czynów gwałtownych marzyciele i teoretycy, Marx, Wagner lub Meyer, nietylko zapaleni ich apostołowie lub propagandziści, nietylko lud fabryczny, ale także złodzieje, próżniaki, pasorzyty, cała masa zepsucia, która nie mogąc rabować żywych, pragnie na pobojowisku obdzierać trupów. Ci ludzie, niecierpliwi i łakomi, którzy nie chcą czekać na spokojny i powolny rozwój, lecz pragną natychmiastowej grabieży, nie przestaną poduszczać najuczciwszej nędzy do rewolucyi, do której mają gotowe basła. Nie przeczymy. że tacy herszci spędzili tłum na Plac Inwalidów w Paryżu, że podobne zbiegowiska urządzą gdzieindziej, ale w tem właśnie tkwi złe, że oni to czynić mogą, że owa nędza musi rzucać się w objęcia każdego wichrzyciela i pod jego przewodnictwem dopominać się o prawa swoje.

„Czarna ręka“ socyalizmu dziś jeszcze społeczeństw nie zabija, ale już im niebezpiecznie grozi; szczęśliwe te, które jej ciosów przezornie unikną, energicznymi środkami warcholstwo obezwładnią i rozumnemi reformami się zabezpieczą.

WYCHODŹTWO POZNAŃSKIE.

Do tylu klęsk, jakie trapią Ks. Poznańskie, przyłączyła się nie mniej od germanizacyi straszna—u nas nieznana wychodźtwo ludu do Ameryki. Według miejscowego *Dziennika* w ciągu ostatnich lat 10 wyemigrowało *80* tysięcy. Straszna cyfra sama przez się, a jeszcze straszniejsza w porównawczem zestawieniu. Z całych Niemiec bowiem podczas r. 1887 wywędrowało 1,068,402 mieszkańców, polskie zaś prowincye przyjęły w tej tłumnej ucieczce tak przeważny udział, że z Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich (po odtrąceniu niemców) wyjechało 44,360.

Uderzający ten fakt zwrócił uwagę rządu, który zaczął go przez osobnych komisarzów badać w portach. No, ale na tem rzecz stanęła. Zauważyć tu winniśmy, że o ile rząd niemiecki czuje stratę miliona swych rodaków. o tyle emigracya ludności polskiej wcale go nie boli. Tem prędzej pójdzie dzieło zagłady. Pojmujemy też dziennikarski telefon kanclerza, *Nordd. Allg. Zeitung*, gdy ta, dla zatamowania upływu krwi państwa, radzi zakładać kolonie zamorskie, w których by niemiecka kultura strzegła wychodźców od wynaradawiania się. Ile przy tem ogniu upiekłoby się pieczeni, dostrzedz łatwo. Naprzód ojczyzna niemiecka, która wiecznie ziewa z głodu i wyciąga się dla zajęcia więcej miejsca, zyskałaby na szerokości i pozyskała ważne posterunki do nieustannych łupów; powtóre wyparci z kraju niemcy nie zerwaliby z nim łączności, a potrzecie regencya bydgoska, ktora dziś odmawia agentom pozwolenia na werbunek emigracyjny, opłacałaby ich chętnie za pośrednictwo.

Czego nie zalałyby fale germanizmu na miejscu, to utonęłoby oderwane od pnia w koloniach zamorskich. Środek zatem bardzo dowcipny i, przyznajmy, humanitarniejszy. niż dawniejsze napełnianie wąwozów pod Sommosierrą przez Napoleona.

Dziennik Poznański wskazuje inną drogę, ale na tę ani p. Pindter, ani jego pan nie wkroczą. Widzi on ratunek w reformie kościelnej i ekonomicznej. Papież ustawicznie koresponduje z cesarzem Wilhelmem, może więc z tej korespondencyi narodzą się ulgi dla katolików, nielitościwie przydeptanych nogą ks. Bismarka, zwłaszcza że przebiegły ich wódz, Windhorst, prowadzi swą armię do ataku nader umiejętnie. Najmniejsza też gwiazdka nie świeci nad stosunkami ekonomicznymi. Poseł Seer wykazał w sejmie pruskim. że kiedy wyrobnik niemiecki płaci 100 proc. podatków, polak. mieszkający z nim przez sień, musi płacić 452 proc. podatku szkolnego. Z pogwałconą wiarą i opróżnioną kieszenią — czy może wieśniak poznański nie emigrować, choćiażby wiedział, że w r. 1882 zatonęły 284 parowce, że w najszczęśliwszej podróży czekają go niewygody a w nowej ojczyźnie nędza i zawód?

Wylewa się też biedny lud za morze, pchany bardziej rozpaczą, niż nadzieją. Rzeczywistość jest tak straszną, że każde marzenie wydaje się rozumnem, a obietnica prawdziwą. Płyną te nieszczęśliwe masy do Ameryki, niby do ziemi obiecanej, pocieszając się tem przynajmniej, że chociaż im chleba zbraknie, nikt im nie zabroni modlić się i mówić swobodnie i nikt im większej części zapracowanego grosza nie wydrze. Możemy sobie roić o poprawie stosunków w Niemczech i o zatamowaniu się emigracyi, tymczasem rzeczywistość nie zapowiada wróżb pomyślnych a konieczność każe się pogodzić ze smutnym faktem, którego dobra wola nie usunie, bo dostarcza pobudek tym tylko, w których jest bezwładną.

Bez żadnego udziału nadprzyrodzonego nić dziejów ludzkości przędzie nieraz zemstę za krzywdy. Ameryka stała się schroniskiem nieszczęśliwych, a dziś już zaczyna karać Europę za jej grzechy. Niezawodnie przyjdzie czas, w którym świat nowy ogłosi upadłość starego i zlicytuje go niemiłosiernie.

Gdy rolnicy niemieccy z blademi od strachu twarzami patrzą na płynącą ku ich rynkom pszenicę amerykańską, zdaje się, że potomkowie europejskich tułaczów wiozą im zemstę za cierpienia ojców.

Z GALICYI.

Lwów, 2 *marca.*

Praca nad umysłowem podniesieniem ludu. — Pocieszające objawy. — Towarzystwa oświaty ludowej. — Lwowski rozsadnik. -- Czynność jego w roku ubiegłym. — Nadzieje. — Starania o dobrobyt ludu wiejskiego. — Kółka rolnicze. — Cel i środki. — Stylizacya. — Prawda pedagogiczna. — Zapoznanie jej. — Kategorye członków. — Ich prawa i obowiązki. — Kogo zwolniono od prowadzenia życia

---

Pacyent pana Lolo

przez

Ch. Epheyre.

Napisałem do pana Lolo. lekarza w zakładzie *Oubliettes*, że chciałbym zawrzeć bliższą znajomość z którymkolwiek pacyentem jego.

Odpowiedział zezwalająco. W kilka dni potem byłem już w *Oubliettes*. Przeszedłszy mnóstwo korytarzy, stanąłem nareszcie przed oszklonemi drzwiami.

— Wejdź pan śmiało — rzekła do mnie towarzysząca mi kobieta.

Spostrzegłem malutkiego, okrąglutkiego, uśmiechającego się i podskakującego człowieka. Był to doktór Lolo. Oczy jego pełne życia wyrażały wesołość i dobry humor. Przedstawiłem się; poprosił mnie siedzieć i bez ceremonii podał mi rękę na przywitanie.

— Pan nie jesteś lekarzem—rzekł—a jednak chcesz zwiedzić dom waryatów? To się z naszą regułą nie zgadza, lecz reguła dla mnie — furda! A więc pan nie wierzysz, że pomieszanie zmysłów jest udzielające się, jak mówią, i że patrzeć na waryatów?..

Zrobiłem ruch przeczący.

— W istocie, masz pan słuszność — odrzekł, śmiejąc się głośno. Przykładem ja; mieszkam z tymi nieszczęśliwymi blisko od lat dwudziestu pięciu, a jednak głowę mam tęgą i nikt nie myśli mnie wsadzić do domu obłąkanych.

Na tę myśl sam się głośno roześmiał i przeszedł po pokoju, zadowolony z siebie, przeglądając się w skromnem zwierciedle, zawieszonem na ścianie.

— Mamy *szalonych*, *idyotów*, *epileptyków* i *maniaków* — rzekł. Czy chcesz ich pan szczegółowo oglądać? Uprzedzam jednak, że widok to nie arcyzabawny.

I nadął policzki, poprawiając krawat na szyi.

Wyszliśmy z pokoju i znaleźliśmy się w dziedzińcu.

O nędzo ludzka! O nieszczęsne, niepotrzebne istoty! Któż was przy życiu utrzymuje?! Kto stara się zachować ten wstyd rodzaju ludzkiego! Kto wie, czy pod tą sromotną powłoką nie kryje się dusza, cierpiąca nad swoją niedolą?! Starcy — umierający na cuchnących łożach; wątłe i potworne dzieci — niemogące się nawet czołgać; wyrzutki rodzaju ludzkiego; istoty odstręczające, które natura wydała w chwili ironii lub gniewu; na cóż przechowujemy tę dziwaczną kolekcyę!? Czyż się nie znajdzie człowiek serca, lub rozumu, któryby miał odwagę podpalić tę spuściznę ludzkości?!

Pan Lolo, z podniesioną głową, z jasnem, wesołem okiem, z otwartemi do uśmiechu ustami, jak książe oglądający swe państwo, przechadzał się wśród tej nędzy—wesoły.

Znaleźliśmy się na dziedzińcu *maniaków*. Pan Lolo spojrzał na zegarek:

— Tam do dyabła! — zawołał, już godzina jedenasta, czekają mię na konsylium w Auteuil. Zmuszony jestem rozstać się z panem, lecz jeżeli pan życzysz sobie poznać piękny okaz pomieszania zmysłów na rozumowaniu, zaprowadź pan tego jegomościa do mego gabinetu, a on panu opowie swoją historyę.

— Jakóbie! — rzekł do siedzącego na ławce indywiduum—ten pan współczuje ci. Możesz mu opowiedzieć swoją historyę.

Weszliśmy do pokoju za oszklonemi drzwiami. Pan Lolo uścisnął mi rękę, uśmiechnął się i poszedł, podskakując. Zostałem sam na sam z Jakóbem.

Człowiek ten miał około czterdziestu lat. Łagodny, trochę gapiowaty wyraz twarzy budził sympatyę; od czasu do czasu oczy jego jaśniały błyskami prawdziwej inteligencyi.

„nienagannego.“ — Szczególny przywilej najwięcej interesowanych. — Ogłoszenie konkursu o nagrodę *in natura*. — Kraina szlachciców. — Spodziewane korzyści z Kółek. — *Paradebauern*. — Parę słów pod waszym adresem.

Wiele pracujemy teraz nad oświatą ludu, a pracujemy już nietylko dlatego, „aby się wydawało, że coś robimy,“ ale z rzeczywistem zrozumieniem ważności zadania, z energią a co najważniejsza — obym tylko nie przesadził! — z wytrwałością, cnotą, której brak ma być psychiczną właściwością naszego narodu. To krzątanie się około umysłowego podniesienia niższych warstw społecznych widzimy nietylko w obu ogniskach umysłowego ruchu Galicyi, ale i w najodleglejszych jej zakątkach, dokąd promienie światła nie przedzierały się dotychczas. Pracy tej u podstaw warto poświęcić słów kilka.

Nie będę tu mówił o „Macierzy polskiej,“ która powstała ofiarnością jednego człowieka, i o jej bardzo skromnej dotychczas działalności. Chcę wskazać pracę zbiorową, która, jako wyraz zainteresowania się szerszych kół ludności, o wiele piękniejszym i w skutki donioślejszym jest objawem, aniżeli błyski hojności jednostek. Mam na myśli głównie młode jeszcze a dzielnie się rozwijające „Tow. oświaty ludowej.“

Rok zaledwie minął od czasu, jak grono ludzi rzuciło nowy projekt łącznej pracy, która dotychczas spoczywała wyłącznie na barkach instytucyj rządowych i krajowych. Spostrzeżono, że urzędowe rozdzielanie światła niezupełnie jest wystarczającem i potrzeb ogółu nie zaspakaja w mierze pożądanej; usiłowania zaś jednostek z konieczności rzeczy ograniczać się muszą do szczupłego zakresu. Podano sobie tedy ręce do wspólnej pracy i z końcem r. 1881 założono we Lwowie pierwsze w Galicyi „Tow. oświaty ludowej.“

Na jego wzór zawiązały się takież same stowarzyszenia naprzód w Krakowie, następnie w Nowym Targu, Bochni, Tarnowie itd. a utworzenie się ich w innych miejscowościach jest już tylko kwestyą niedalekiej przyszłości.

Cel „Towarzystwa oświaty“ wskazuje sama jego nazwa. Szerzenie światła jest oczywiście jego zadaniem, które spełnia przez zakładanie bibliotek i wypożyczalni, urządzanie odczytów itp. Stosownie do statutu ograniczyło Towarzystwo — o lwowskiem tu tylko mówimy — działalność swoją na miasto Lwów i jego najbliższą okolicę. Jest to postępowanie ze wszech miar słuszne. Lepiej jest w każdym razie skromniejsze działaniu zakreślić granice, a w obrębie ich pracować rzetelnie nad urzeczywistnieniem zamierzonego celu, niż imać się zadań, nieodpowiadających wcale zasobom i rozproszyć wątłe siły na szerokiej przestrzeni. Zresztą wobec faktu, że wedle lwowskiego wzoru zawiązują się Towarzystwa oświaty i w innych miastach a jest nadzieja, że wkrótce powstaną i w niedalekim od stolicy promieniu— takie rozprzestrzenianie się byłoby zbytecznem.

W tych dniach pojawiło się właśnie pierwsze sprawozdanie z czynności wydziału Towarzystwa, mianowicie za r. 1882. W przeciągu tego krótkiego czasu założono we Lwowie 2 czytelnie i 2 wypożyczalnie a na prowincyi 2 czytelnie i 12 wypożyczalni. Dążeniem Towarzystwa jest zakładanie, gdzie tylko można, czytelni, jest to bowiem środek szerzenia oświaty o wiele skuteczniejszy, aniżeli biblioteki. Środek ten nie wszędzie jednak dał się użyć; jest bowiem naprzód o wiele kosztowniejszym, powtóre brak ludzi po wsiach, odpowiednich do kierowania czytelniami, powstrzymywał młodą instytucyę od przedsiębrania prób, nierokujących powodzenia.

Rezultat jednorocznej działalności tego nowego rozsadnika oświaty można w każdym razie nazwać, jeżeli nie świetnym, to zadawalającym, zważywszy, jak skromnymi rozporządzało Towarzystwo funduszami. Cały bowiem dochód jego wynosił zaledwie 2353 złr. przy udziale 1082 członków, z których każdy obowiązanym jest płacić rocznie tylko guldena albo 10 centów miesięcznie, kwotę tak drobną, że liczba ich nie w tysiącach, ale co najmniej w dziesiątkach tysięcy widnieć powinna na kartach sprawozdania, do czego też zapewne i przyjdzie w czasie niedługim. Do stawiania tak pomyślnego horoskopu upoważnia nas przynajmniej nowy, z ludzi energicznych złożony wydział i osoba prezesa, którym jest obecnie docent lwowskiej wszechnicy, dr. Aleksander Hirschberg. Godność, którą obdarzono tego szczerze postępowego zarówno na naukowej, jak i społecznej niwie pracownika, należała mu się słusznie, jako inicyatorowi i jednemu z najczynniejszych zeszłorocznych członków wydziałowych.

Skoro dzisiejszy mój list ma być już wyłącznie poświęcony sprawozdaniu z pracy naszej około ludu, wspomnę tu jeszcze o drugiej, niemniej ważnej instytucyi, za którą bezsprzecznie uważać by należało „Towarzystwo kółek rolniczych.“ Zbyt młoda to jeszcze płonka, aby można już było mówić o jej owocach — ograniczę się zatem dzisiaj jedynie na wskazaniu zadań jej i środków, jakimi rozporządzają te niby włościańskie stowarzyszenia, niemniej warunków, które na pomyślny lub niepomyślny rozwój ich wpłyną w najbliższej przyszłości... Tem skwapliwiej zaś biorę się do tego, ile że niedawno temu poruszona została w *Prawdzie* *) myśl przeszczepienia także na wasz grunt rośliny, która w Poznańskiem pożądane niesie podobno owoce, u nas niewiadomo jeszcze, jakiego smaku je wyda...

„Towarzystwo kółek rolniczych“ zawiązane zostało w dniu 3 maja 1831 r., ukonstytuowało się jednak ostatecznie dopiero przed paru miesiącami, ogłaszając zatwierdzony przez rząd statut, którego rozbiorem zająć się chcemy właśnie. Jako cel wymienia on podniesienie rolnictwa i drobnego przemysłu we wszystkich gałęziach tudzież umoralnienia ludu **). Do osiągnięcia celu tego służyć mają następujące środki: pouczanie ludu, ustnie lub za pomocą dziełek i pism, o rolnictwie i przemyśle domowym traktujących; ułatwianie w nabywaniu narzędzi rolniczych i wszystkich innych przedmiotów, potrzebnych do gospodarstwa; zakładanie bibliotek, czytelni i sklepików; branie udziału w wystawach, urządzanych przez Towarzystwa gospodarcze ***), zwiedzanie wzorowych gospodarstw i wogole wszelkie czynności,

---

*) Przy sposobności zaznaczymy, że pragnący obeznać się z tą instytucyą dokładnie znajdą szczegółowe wiadomości w rozprawce dra W. Łebińskiego p. t. *Kółka rolniczo-włościańskie i rozwój pracy około rolniczej oświaty ludowej w W. Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich* (odbitka z *Ateneum*) Warszawa 1881.

**) Pozwalamy sobie zaznaczyć błędną w wielu punktach stylizacyę statutu. I tak § 2 brzmi: „*Cel: Praca* nad podniesieniem rolnictwa... tudzież *staranie* o umoralnienie itd.“ Zdaje się nam, że cały ten ustęp wejść był powinien do § 3, gdzie mowa jest o *środkach* do osiągnięcia wytkniętego *celu*, którym chyba jest nie praca około podniesienia dobrobytu i nie staranie o moralność ludu, ale samo właśnie podniesienie dobrobytu rolników i ich umoralnienie.

***) Stowarzyszenia właścicieli większych posiadłości.

— Czy pan wiesz, gdzie się znajdujesz?— zapytałem go.

Uśmiechnął się, nic mi nie odpowiadając. Powtórzyłem zapytanie. Znowu się uśmiechnął i rzekł:

— Jestem zamknięty w zakładzie *Oubliettes*, i prawdopodobnie zostanę tu na całe życie, ponieważ sam nie uznaję swego pomieszania; a to rzecz ważna. Jestem jakoby waryatem i tak twierdzą wszyscy doktorowie. Lecz pomimo najszczerszych chęci moich twierdzenie ich dla mnie jest niewystarczające.

Spodziewałem się tego.

— A więc — rzekłem — pan nie jesteś obłąkanym?

— Wcale nie. Na nieszczęście, znam siebie dobrze, gdyż badałem wszystkie tajniki mego *ja*. Mam wady, jestem leniwy, lubię marzyć i filozofować nad swoim losem: gdyby nie to, nie byłbym tutaj; lecz zapragnąłem rozumować, zgłębiać, zastanawiać się, analizować. Widzisz pan, że mi się moje rozumowania nie udały, ponieważ przyprowadziły mię do tego zakładu. Większa część ludzi żyje bez rozmyślań: ci są mądrzy. Ja żyję i rozmyślam: widocznie to właśnie jest waryacyą.

— Historya życia mego długa; lecz nie jestem wcale podobny do nieszczęśliwych waryatów towarzyszów moich, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak opowiadać pierwszemu lepszemu przygody nędznego istnienia swego. Wszystko to dla mnie jest obojętnem; zresztą to, cobym miał opowiedzieć, tak jest nieinteresujące... Jednak, jeżeli pan życzy,...

— Opowiadaj pan, proszę — rzekłem.

— Otóż, mój panie, w dzieciństwie byłem bardzo nieszczęśliwy. Urodziłem się w Paryżu. Biedną matkę moją — Panie świeć nad jej duszą! — ojciec często bił, bo czułym nie był. Krótko mówiąc, po jej śmierci zostałem prawie opuszczony. Tak, panie, umarłbym z głodu, gdybym w r. 1844 d. 10 czerwca o godzinie ósmej zrana nie przechodził przez Faubourg-Saint-Antoine, po lewej stronie trotuaru.

O godzinie ósmej zrana d. 10 czerwca r. 1844 na Fauborg-Saint-Antoine, na trotuarze po lewej stronie, mieszkaniec Auvergnii trzymał na łańcuchu oswojonego niedźwiedzia, i, za kilka *sou*, które mu rzucali przechodnie, kazał swemu zwierzęciu pokazywać zadziwiające akrobatyczne sztuki, których w krótkiem życiu mojem nigdy jeszcze nie widziałem.

Nie myślałem wówczas o całym szeregu okoliczności, sprowadzających o tej samej godzinie, na tę samą ulicę, na ten sam trotuar, niedźwiedzia wytropionego w Pireneach, żołnierza z Auvergnii, który odbył kampanię do Rosyi, i małego Jakóba, obitego przez ojca. O, wcale o tem nie myślałem! Patrzyłem na niedźwiedzia z zachwytem, na jaki może się zdobyć mały paryżanin. Wówczas jeszcze nie posiadałem tej potężnej logiki, którą nabyłem dzięki rozmaitym okolicznościom; lecz umiałem już marzyć i obserwować. Pół godziny przynajmniej patrzyłem na niedźwiedzia.

Przewodnik jego obserwował mnie i zrobił mi znak ręką, udałem się za nim. Szliśmy tak do ciemnej wąskiej uliczki...

Cóż dziwnego mój panie! Wówczas jeszcze nie rozwinęło się we mnie uczucie miłości synowskiej. Przez cały tydzień nie widziałem mego ojca; jedyny zaś dowód uczucia, jaki mi dał, kiedym wrócił do niego, było mocne uderzenie grubym kijem, i ślad jego — rana ta była jedyną oznaką czułości ojcowskiej. Za każdym krokiem przezemnie robionym czułem ból w ręku. Gdyby nie to uderzenie kijem, może odmówiłbym czynionym mi propozycyom; lecz... dość o tem.

Koniec końców, stałem się towarzyszem ojca Mouchassaca. Był to, panie, wyśmienity człowiek. Dzielni ludzie nie w salonach mieszkają; kilka przyjemnych lat z nim spędziłem. Zebrał on trochę grosza i codzień kapitał się powiększał. Pieniądze te miały służyć na kupno chaty z kawałkiem ziemi w górach Auvergnii.

zmierzające do osiągnięcia zamierzonego celu.

Od „bibliotek do sklepików,“ w jednej obok siebie stojących grupie, przechodzę do następnych paragrafów, dotych mianowicie, które traktują o obowiązkach i prawach ich członków... Rozbiór tej części statutu poprzedzić jednak muszę maleńkim wstępem...

Aż nazbyt dobrze wiadomą jest każdemu pedagogowi rzeczą, że praca zarówno nad umysłowym, jak i moralnym rozwojem ucznia, wtedy tylko z prawdziwym może być przedsiębraną pożytkiem, jeżeli pedagog zdoła pozyskać *zaufanie* wychowańca. Jest to prawda niezbita, bo codziennem doświadczeniem nieustannie stwierdzana a lekceważenie jej nietylko najgorsze ze względu na kształcących się wydaje owoce, ale mści się także na samych nauczycielach.

Zdawałoby się tedy, że prawdę powyższą uznają także w roli przewodników ludu występujący założyciele nowego towarzystwa. Zdawałoby się... no, myśmy się jednak nie łudzili nawet co do kierunku, jaki inicyatorowie „Kółek“ nadadzą tym „włościańskim“ stowarzyszeniom... Chciejmy tylko rozpatrzeć się w statucie!..

Otóż członkowie Towarzystwa tego dzielą się na zwyczajnych, wspierających i protektorów. Zwyczajnym, albo raczej, że tak z niemiecka się wyrazimy, co rzecz bezwątpienia w daleko właściwszem przedstawi świetle — *ordynarnym* członkiem Towarzystwa może być każdy gospodarz wiejski lub drobny przemysłowiec, „jeżeli tylko chrześciańskiego jest wyznania i życie prowadzi nienaganne.“ Między innymi jego obowiązkami wymieniono także i konieczność zapłacenia jednego guldena rocznie do kasy Towarzystwa. Obowiązki członków wspierających są znacznie lżejsze. Jakkolwiek składka ich roczna wyższą jest o całego austr. guldena, ale natomiast „chrześciańskie wyznanie“ wcale nie jest warunkiem nieodzownym do przyjęcia. Tem bardziej nie posiada nikt prawa wglądać w prywatne życie wspierającego członka,. Najłatwiej wreszcie zostać członkiem protektorem... Ani o życiu nienagannem, ani o składce nawet nie wspomina statut. Mianuje walne zgromadzenie, ale i ta komedya wydała się stanowicielom statutu zbyteczną, bo „w nadzwyczajnych wypadkach“ (co też to mogą być za grożne momenty?) służy prawo nominacyi samemu nawet centralnemu zarządowi...

A teraz przypatrzmy się walnemu zgromadzeniu i temu centralnemu zarządowi, kto je rodzi i kto uczęszcza na nie... Paragraf 10 statutów tak opiewa: „Członkowie zwyczajni itd. aż do panów protektorów mają prawo z *zastrzeżeniem*, *zawartem* w § 30, zasiadać... i na walnem zgromadzeniu z głosem stanowczym itd.“ Dla rozweselenia czytelnika pozwolę sobie ów wiele obiecujący § 30 przytoczyć tutaj w całej jego rozciągłości.

Brzmi on następnie:

„§ 30. Na walnem zgromadzeniu uchwalają delegaci powiatowi kółek, protektorowie i członkowie wspierający we wszelkich sprawach, odnoszących się do zarządu majątku i organizacyi Towarzystwa, a mianowicie:

a) wybierają 18 członków zarządu centralnego i komisyę rachunkową z 3 członków;

b) przyjmują do wiadomości sprawozdania zarządu centralnego z czynności całego Towarzystwa, tudzież kółek, filij powiatowych i z obrotu ich funduszów;

c) uchwalają na przedstawienia zarządu centralnego o zmianie statutu, o rozwiązaniu Towarzystwa;

d) orzekają o jego ruchomym i nieruchomym majątku;

e) uchwalają celowi Towarzystwa odpowiednie zakłady;

f) załatwiają wnioski reprezentantów filij powiatowych lub kółek, przedstawione przez zarząd centralny, o ile takowe dotyczą spraw majątkowych i organizacyi Towarzystwa.

W sprawach tu wymienionych członkowie zwyczajni mają tylko głos doradczy.

W *innych* zaś sprawach, przedstawionych walnemu zgromadzeniu, mają *także* członkowie zwyczajni głos *stanowczy*.“

Nieprawdaż, że dowcipni to byli panowie, co statut „Kółek“ układali? Pod wpływem wiejącego zeń humoru gotów jestem wszystkich ośmnastu członków centralnego zarządu dostawić żywcem temu, co zdoła wymyślić taką „inną“ sprawę, w której by „także“ zwyczajny członek miał głos „stanowczy...“

Dalszych punktów statutu rozbierać, zdaje się, nie potrzebuję... Czytelnik wyrobił sobie zapewne dostateczne pojęcie o pracy nad ludem u nas, gdy się jej ima szlachta, jako ciało zbiorowe. A chociaż inicyatywa do założenia „Towarzystwa Kółek“ nie wyszła z jej łona, nie przemawia to jeszcze nic przeciw naszemu twierdzeniu, wobec faktu, że instytucya ta, której projekt rzuciła inteligencya miejska, opanowaną została ostatecznie i skrzywioną przez żywioł szlachecki, stając się tym sposobem służebnicą jego kastowych interesów.

Czy w takich warunkach może ona budzić *zaufanie* wśród tych, których spraw ma być niby rzeczniczką? Wątpimy, znamy bowiem lud nasz bardzo dobrze i jego podejrzliwość, nietylko w takich sprawach, jak kółka rolnicze, które jeżeli prosperować będą, to chyba na to, aby dostarczać niektórym obchodom narodowym „poczciwych chłopków,“ których tak trafnie nazwali niemcy—*Paradebauern*..,

Nie wiem, czy projekt pana Aleksandra Bossakiewicza przyjmie się u was, w każdym jednak razie uważałem za stosowne powiedzieć parę słów także *ad vestrum usum*, bojąc się poronienia, któremu i najszlachetniejszy płód uledz może. A szkoda by było, zaprawdę i zachodu i nakładu, jeśliby lud miał powiedzieć: *Timeo Danaos et dona ferentes...*

Rewera.

PSYCHOLOGIA WIELKICH LUDZI *).

II.

Związek geniuszów z bezpośrednimi poprzednikami bywa osobliwie ścisłym. Zazwyczaj debiutem nowych talentów jest naśladownictwo mistrzów, najwięcej w danej chwili wyniesionych. Mozart wystąpił po raz pierwszy jako kontynuator Bacha, Beethoven—Mozarta; Tacyt jako uczeń Cycerona, Arystoteles — Platona, Leibnitz—Kartezyusza, Kantowi za punkt wyjścia posłużyła filozofia Humego. Jednocześnie wielki umysł ma wzrok pilnie zwrócony na dążenia współczesne, szuka dróg nowych. Kto poprzestaje na samej starożytności, może być dobrym krytykiem, estetykiem, lecz nigdy twórczym myślicielem. Stosunek ten możnaby ująć w for-

*) Patrz nr. 9.

Ponieważ nie jest to rzeczą bezpieczną chodzić po rozmaitych miastach europejskich i pokazywać niedźwiedzia, Mouchassac na wszelki wypadek napisał testament. Uznał mnie za swego syna i wszystko mi zapisał. Z tego powodu, chociaż się urodziłem w Paryżu, nazywam się jednak Jakóbem Mouchassac, jak istny mieszkaniec Auvergnii. A jednak, tego by nigdy nie było, gdybym 10 czerwca r. 1844 przeszedł o dziesięć minut wcześniej przez plac Bastylii, lub gdyby w wigilię tego dnia mój prawdziwy ojciec mniej boleśnie uderzył mnie kijem.

Historya Mouchassaca byłaby bardzo ciekawą do opowiedzenia, gdybym ją chciał przedstawić w jej logicznym związku; zaprowadziłoby to nas jednak daleko, a ponieważ pan tak uważnie mię słuchasz, wolę więc przejść do dalszego ciągu mojej.

Każdy ma słabą stronę. Moją, niestety! jest chęć rozumowania nad wypadkami, które mi się przytrafiają. Mouchassac lubił wypić jednym haustem kieliszek wódki po obiedzie. Pewnego wieczoru — dobrze się nam tego dnia powiodło — było to w małem tyrolskiem mieście w Gratz, głupia dziewczyna z oberży, zamiast czerwonej butelki, wzięła zieloną i mój biedny Mouchassac zamiast kieliszka wódki wypił kieliszek witrioleju. Niestety, mój panie, umarł biedak. Nieszczęście to nie przytrafiłoby się jednak, gdyby Mouchassac pił powolniej, lub też gdyby służąca wzięła butelkę czerwoną zamiast zielonej. Ale nie można już tak o wszystkiem pamiętać, a każdemu wolno jest lubić złą wódkę.

Spadek po Mouchassacu zaraz spisano: został mi niedźwiedź i 318 franków. Po namyśle postanowiłem iść w ślady mego nieszczęśliwego opiekuna.

Z Gratzu, ku północnej stronie, prowadzą dwie drogi: jedna na prawo, druga na lewo. Nieboszczyk mój opiekun w takich razach spuszczał się całkiem na niedźwiedzia. Mouchassac dowodził, że niedźwiedzie mają szczęśliwe instynkta i że idą zawsze w kierunku biegu żył kruszcowych.

Zwróć więc pan uwagę na to, coby się przytrafiło, gdyby inteligentne zwierzę skierowało się na lewo! Całe moje życie inaczej by poszło i jabym nie miał przyjemności opowiadać teraz panu historyę życia mego w gabinecie pana Lolo.

O kilka mil od Gratzu, kiedyśmy ja i mój niedźwiedź przechodzili koło kraty, otaczającej wspaniały pałac, po tej samej drodze kłusem pędził jeździec. Niedźwiedź mój przestraszył konia i ten się wspiął. Chciałem podtrzymać upadającego jeźdźca, lecz munsztuk tak silnie uderzył mię w czaszkę, żem upadł i stracił przytomność.

Obudziłem się w głębi stodoły. Naprzód namacałem trzos, potem usłyszałem przyjacielskie mruczenie niedźwiedzia. Zrozumiałem, że nie umieram; lecz cały miesiąc byłem słaby.

Kiedym, panie, leżał w stodole należącej do zabudowań pałacu Wunderbar, oddałem się całkiem szczególnym rozmyślaniom. Z owych dumań nawet bierze początek moja przeklęta rozumująca waryacya. Mówiłem sobie, że gdyby hrabia de Wunderbar o dwie minuty później przejeżdżał koło ogrodzenia, koń jego nie stanąłby dębem; gdyby mię silniej uderzył munsztuk, nie spałbym jak teraz na słomie, lecz leżałbym spokojnie w trumnie.

Hrabia de Wunderbar był dzielnym człowiekiem. Przyszedł mnie odwiedzić i przyniósł owoce dla niedźwiedzia. Gdym już był w stanie rozpocząć moje tułacze życie, hrabia zaproponował mi pozostać w pałacu. Oddawna już szukał on lokaja francuza; przytem niedźwiedź mój bardzo mu się podobał. Zważywszy wszystkie okoliczności, proponowane mi miejsce było nie do odrzucenia. Rzemiosło przewodnika niedźwiedzi ma wiele powabu, lecz nie źle też jest być codzień pewnym, że się wieczorem zaśnie w łóżku.

(D. n.)

mułę: „wielki człowiek pracuje dla przyszłości, ponieważ zajmuje się potrzebami teraźniejszości z rozumem, wyćwiczonym na obcowaniu z mistrzami przeszłości.“ Z drugiej strony pogoń za oryginalnością, nowością, jest objawem sił słabych; dowodzi ona niechęci korzystania z utorowanych dróg szkoły; wątpimy wszakże, czy taki Carlyle lub Wagner, utożsamiający talent z wysokim indywidualizmem i samodzielnością, do mniemania tego przychyliłby się. Krótko mówiąc, według Jolego, wielcy łączą znajomość przeszłości z rozumieniem potrzeb swojego czasu. Obcowanie z wielkimi jest rozkoszą wielkich — powiedział Goethe. Nadto, łączność z współczesnymi wyraża się w innej jeszcze formie. Umysły wyższe umieją grupować wokoło siebie i zdolne głowy, stawać na czele ruchu, budować plany, dodawać jedności i ducha szermierzom, kształtować talenty. Wielcy korzystają z współpracownictwa współczesnych, jak Newton z Picarda, Harvey ze spostrzeżeń fizyologów; godzą nieprzyjazne obozy, budując nowe systematy. Często w okresach przejściowych dostrzegać się daje wahanie, niepewność w strategii talentów: zjawia się geniusz i wytyka drogę, z większem niż inni męstwem podnosząc sztandar idei.

Czem jest geniusz sam w sobie i jakie przyczyny go wywołują? James odpowiada, iż działają tu ślepe epikurejskie sprężyny, a zbieg ich, równoznaczny z przypadkiem, może wytworzyć pomyślną kombinacyę genialnych czynników. Według Jolego zachodzi raczej konieczność organiczna, która mechanicznej nie znosi, lecz ją uzupełnia. Geniusz nie jest wyłącznie niewolnikiem przeszłości, posłusznem narzędziem bezcelowych działaczów. Wielkie pomysły i dzieła są niejako teleologicznie rozwijającymi się organizmami. Ileż to razy zdarza się, że przypadkowo zrobione odkrycie czekać musi, aż wystąpi dojrzała, wypracowana teorya i należycie objaśni jego doniosłość! Historya znakomitych odkryć i wynalazków, dzieł sztuki i czynów—to kształtowanie się ustrojów, z pewną ideą naczelną, ogniskującą naokoło siebie drugorzędne, z początku kiełkującą a z czasem szeroko rozgałęzioną; to indywidua, z zewnątrz ściągające pokarmowe pierwiastki a odrzucające nieprzydatne im. Własny umysł człowieka działa narówni z historyą, otoczeniem, wychowaniem, dziedzicznością, samowiedza i wola panują celowo nad procesem wewnętrznym. Na poparcie swej teoryi Joly przytacza ciekawą genezę głównych zdobyczy Kolumba, Leibnitza, Leonarda da Vinci i Beethovena; widzimy z niej, jak wolno odbywała się w nich wewnętrzna robota, jak mozolnemi drogami dążyli do celu. Wielkiemu genueńczykowi wzmianki starożytnych geografów nasunęły uporczywą myśl, iż gdzieś na dalekim wschodzie musi istnieć jakaś ziemia nieznana, zapał religijny i nieposkromiona żądza sławy umacniały go w odwadze i wytrwałości, tak iż niezliczone szyderstwa przyjaciół nie były w stanie na chwilę go zniechęcić. Newton, przy każdej sposobności, jak i przy owem spadłem z drzewa jabłku, rozmyślał nad istotą tajemniczego przyciągania, zwolna wyrabiał sobie przekonanie o jego powszechności, a nie mogąc stwierdzić go odnośnie do księżyca, czekał *czternaście lat* z głęboko utajonem w sercu odkryciem, aż wyliczenia Picarda pozwoliły mu je ogłosić. Leibnitz, ślęcząc nad Descartem i filozofami greckimi, zastanawiając się nad ideą eucharystyi, pomału i świadomie dochodził do pewności, że musi istnieć w ciałach jakiś czynnik niecielesny, odmienny od materyi. Dowodzą tego jaskrawo jego listy. Vinci lat kilka chodził z ołówkiem po Włoszech, szukając wśród ludu wzoru dla Judasza. Beethoven swe symfonie rozwijał z przewodniej myśli, tak iż jeden ułamek symfonii, której bohaterem miał być początkowo Napoleon, stał się zarodkiem, niemal ziarnem nowego wspaniałego dzieła.

Powyższe przykłady dostatecznie wykazują cały organiczny przebieg powstawania wielkich utworów myśli i jednocześnie przypominają, że nie towarzyszył im bynajmniej żaden chorobliwie ekstatyczny stan umysłu. Wszystkie, działające tu czynniki, są natury czysto ziemskiej i normalnej, do nich też każdy zaliczy wzruszenie Newtona, który widząc, iż rachunek zmierza do pożądanego rezultatu, stracił niemal przytomność i dokończenie jego powierzył obecnemu przyjacielowi. Żadnych monomanij we wszystkich opowiedzianych wypadkach nie dostrzegamy.

Gdy już wiemy na pewno, że nasuwające się geniuszowi spostrzeżenia łączą się w jeden szereg z przeszłemi i świadomie prowadzą go do mety, nastręcza się pytanie, czy dzieła przyszłe mają jakikolwiek związek z danym momentem, czy też usposobieniem wielkiego człowieka. Są tacy, co utrzymują, że wynalazek lub arcydzieło są nagłe, nieprzewidziane, że nie mogą być chciane, zamierzone lub przeczute, i przytaczają sofizmat, że utwór spodziewany jest sam w sobie sprzecznością; „jeśli odkrywam to, co pomyślałem wprzódy, to się powtarzam,“ tak iż tylko w dziełach czynu między pomysłem a urzeczywistnieniem zachodzi różnica. Dowodzenie to, chociaż na pozór logiczne, jest fałszywem. Opiera się ono na nieporozumieniu: wielkiego dzieła bowiem nie poprzedza całkowita, skończona jego idea, lecz zaledwie niewyraźna chęć, przeczucie. Badawczy umysł rozpoznaje uważnie najmniej według niego uprawne pole, szuka zagadnień, najmniej rozstrzygniętych, najwięcej pozostawiających do zrobienia. Kolumb czuje, iż musi być coś, co zapełnia olbrzymie pustki na mapie i coby objaśniło przebąkiwania starożytnych; Newton wierzy, iż ruchy niebieskie i ziemskie muszą podlegać jednym prawom. To znaczy, iż między poczęciem ducha a dziełem zachodzi pewne podobieństwo i różnica. Napoleon przed bitwą pod Ulmem naszkicował sobie w myśli cały jej plan. Geniusze noszą zaród arcydzieła w swych pragnieniach, cierpieniach, namiętnościach, wspomnieniach. Pod ich wpływem przyciągają oni z zewnętrznego świata wpływy, tendencye i pragnienia, najbardziej do urzeczywistnienia ich osobistych marzeń się nadające. Zazwyczaj namiętność jest najsilniejszym zadatkiem przyszłego płodu. Platon tęsknił za ideałom, Spinoza upajał się ideą bóstwa powszechnego, Goethe pałał żądzą klasycyzmu. Słusznie powiedział Novalis: „bez entuzyazmu niema matematyków.“ Wielkie dzieła nie są zatem zesłanemi przez Boga w jednej chwili. Taki podział pracy ludzkiej i boskiej byłby nie właściwy. Nie mamy zasady przypisywać wewnętrznej refleksyi jedynie władzę uwieńczania gotowego już arcydzieła i biernego przyjmowania stworzonego przez nieziemskie siły cudu. Umysł człowieka nie jest słabem i bezmyślnem narzędziem opatrzności.

Z ustosunkowaniem udziału osobistego i deterministycznego, wewnętrznej swobody i wpływu sił zewnętrznych, w stwarzaniu wielkich dzieł, pozostaje w związku kwestya natchnienia, której Joly poświęca ostatni rozdział swej pracy. Pospolicie w natchnieniu dopatrują się przewagi pierwiastku mistycznego. Dotychczasowa wszakże analiza genialności dostatecznie wykazuje bezpodstawność podobnej wiary. Kojarzenie aktu twórczości z jakiemś delirium jest zabytkiem dawnej retoryki. Powszechnie wiadomo, że skupienie ducha w procesie twórczości jest zupełnie względnem. Jedni przy najwspanialszych pomysłach panują nad sobą i nic tracą równowagi ani spokoju, jak Mozart, inni kipią namiętnością i patosem, jak Beethoven. Znane są zresztą wypadki, w których najgwałtowniejsza burza w sercu, prawdziwa gorączka towarzyszyły produkowaniu utworów miernych i bezdusznych — przypomnijmy tylko sobie nastrój, w jakim Voltaire pisał *Katylinę*... W wielu za to wypadkach brzemienności ducha towarzyszą katusze. Byron niejednokrotnie na nie się skarżył, dodając, że musiał pisać dla zmniejszenia swych przedporodowych cierpień; tworzenie było dlań rzeczywistą ulgą. Lecz niedorzecznem byłoby upatrywanie w dreszczach przyczyny natchnienia: one są po prostu jego zakończeniem, ostatecznym momentem wykonania dzieła. Chaos idej, miotających się z początku jak orzeł w klatce, uspokaja się, gdy znajdzie dla nich ujście, gdy jakaś myśl przewodnia ujmie je w karby, uciszy i poskromi. Jest to chwila, gdy się zjawia po długiem oczekiwaniu myśl, skracająca, objaśniająca lub upraszczająca dotychczasowe trudności, otwierająca nowe widnokręgi, jest to owe archimedesowe „heureka!“ Nic też dziwnego, że nie każdemu dano jest chwil podobnych doświadczać, lecz tym jedynie, którzy przychodzą na świat z odmiennym, niż ogół, sposobem myślenia, nie zadawalają się teraźniejszością, wiecznie czuwają, czatują podnieceni, jak Leonardo da Vinci ze swym ołówkiem, próbują każdej nastręczającej się idei, wcielają ją do odpowiedniej kategoryi poprzednich swych spostrzeżeń, korzystają z nadarzonych sposobności spełnienia czynu, jak Hannibal, Cezar lub Bonaparte.

Słowem, natchnienie nie jest czemś pierwiastkowem, opierającem się psychologicznej analizie. Składają się na nie rozmaite właściwości i władze umysłu. Najczęściej odróżniamy w nich zdolność powzięcia wielkiego zarysu. Na pomoc przychodzi zawsze uczucie, bądź w formie ożywiającej nadziei tryumfu, ambicyi, bądź miłości ojczyzny lub samego dzieła, bądź w formie potrzeby wynurzenia trawiących duszę boleści. Złożyć genialność na karb wyjątkowo rozwiniętej pamięci lub wytrwałości — niepodobna; dary te są raczej wypływem jej niż źródłem. Cierpliwość i odwaga usług swych nie ofiarują byle jakiemu planowi; a pamięć, choćby najlepsza, małoznaczących faktów i zjawisk nie zatrzyma. Uczucie lub zamiłowanie to dźwignie, bez których najbardziej utalentowane jednostki, pomimo najszczęśliwszego zbiegu warunków, pozostają w połowie drogi do genialności. W krytycznej chwili nie starczy im zapału, męstwa lub poświęcenia...

Interesującą tę rozprawę Joly ubarwił mnóstwem nader trafnych i zajmujących przykładów, dowodząc jednocześnie przez to niemałej erudycyi. Przyczynił się on znakomicie do uchylenia zasłony nad tajemniczą zagadką geniuszu. Szkoda tylko, że w wywodach swych spuścił z uwagi zasadnicze różnice, zachodzące między rozmaitymi rodzajami twórczości. Tak np. fantazyę, która tak olbrzymią odgrywa rolę w produkcyi poetyckiej i wogóle estetycznej, pozostawił niemal zupełnie na uboczu. Również słabo zarysował przyczyny, dla których wielcy tak różnią się rażąco od maluczkich. Słowem więcej uwzględnił stosunek talentu do świata zewnętrznego, niż jego istotę. Kończy wykład bardzo piękną apostrofą do współczesnych utopistów —niwelatorów, w której kładzie nacisk na bezzasadność bezwzględnej demokracyi w świecie ducha. Geniusze są ludzkości potrzebni; nie tylko nic robią oni naokoło spustoszeń, jak im niektórzy zarzucają, lecz owszem wydobywają na światło dzienne to, co jest najlepszego w danej epoce, dodają otuchy skromnym, przewodniczą im na drodze do ideału, wskrzeszają zapomnianych i rehabilitują zapoznanych, odświeżają i rugują z nich cześć dla upadających systematów.

N. Hirszband.

Ryszard Wagner.

(Dokończenie).

Następne trzy lata spędził mistrz bayreucki w ciągłych podróżach koncertowych: dawały mu one utrzymanie i podnosiły nadzieję, bo zwykle przyjmowano je życzliwie i płacono suto. Szczególnie Petersburg i Moskwa zapisały się dobrze w pamięci i rachunkach Wagnera. W Wiedniu publiczność łaknęła Offenbacha; *Trystana* nie udało się wystawić dla braku odpowiednich śpiewaków. Czas jakiś zdawało się, że Karlsruhe na dłużej przykuje wędrownego mistrza; ale chciało mu się karety dworskiej, a nie umiał być oszczędnym i przehulał z aktorami jednego wieczora spory datek wielkiego księcia! Później w Wiedniu doszło do tego, że za długi miano go aresztować. Powtórzyła się więc rejterada ryska: mistrz zmykał do Szwajcaryi; w Sztutgardzie po drodze wstąpił na kilka godzin do przyjaciela; wtem ktoś silnie dzwoni i zapytuje o Wagnera. Oczywiście, agent policyjny, który goni za zbiegiem, aby go do kozy zamknąć. Ale gdzież tam: to Eckert, późniejszy kapelmistrz berliński, przynosi od króla bawarskiego najświetniejsze propozycye. Osiemnastoletni marzyciel zasiadł na tronie kilkomilionowego królestwa, czytał gorące sny drugiego marzyciela, który pragnął stworzyć nową sztukę, jednoczącą poezyę z muzyką, nowy teatr, łączący urok grecki z czarem wynalazków nowożytnych i na końcu swych marzeń zapytywał, gdzież się znajdzie król, który sny moje wcieli? Otóż bajeczny król ten znalazł się: otwiera serce i skarb królewski. Drezdeński nasz republikanin i rewolucyonista bez wielkiego trudu zwalcza w sobie skrupuły rewolucyjne i pędzi do ziemi obiecanej, do Monachium, a zaraz potem śpiewa:

„O królu, uroczy opiekunie mojego żywota,
O ty, ognisko roskoszne najwyższej dobroci!" itd.

„Protestantem jesteś? To dobrze, toś liberał. A kobiet nie cierpisz, jak ja, to jeszcze lepiej; nieznośne są one" — tak brzmiała pierwsza rozmowa z ukoronowanym młodzieńcem, o której powiada Wagner, że osypała go jakby skarbami z rogu obfitości. Skarby te, pochodzące z zakresu słów w postaci brzęczącej monety, ukazały się jako książęca willa dla twórcy *Tannhäusera*, ogromne sumy, przechodzące w jego ręce ze szkatuły królewskiej i projekt uszczęśliwienia Monachium niebywałym na świecie teatrem, który, według planu budowniczego Sempera, miał obciążyć siedmiu milionami marek budżet bawarski. To się wydało trochę za grubym żartom dobrodusznym bawarom.

„Du bist, wie Lola Montez, dieser Biedermänner Schreck," pisał poeta Herwegh, a pewien profesor uniwersytetu oświadczył po prostu, iż należałoby powiesić przybłędę, który bałamuci króla i różni go z narodem.

Skończyło się na tem, że król sam zaproponował ulubieńcowi przejażdżkę na czas dłuższy do Szwajcaryi, z pensyą roczną 15 tysięcy marek (1865). Wagner zabrał się teraz do wykończenia *Meistersingerów* i wystawił tę operę w r. 1868 w Monachium z wielkiem powodzeniem. Wiele pisano i opowiadano o próbach i zabiegach przy tem przedstawieniu; wszyscy zapewniają, że było wzorowem i wywołało ogromny zapał w publiczności.

Wagner czasowo tylko przebyweł w Monachium; mieszkał stale pod Lucerną, a z nim pani Cosima von Bülow, przyszła jego małżonka. Pierwsza zaś żona umarła około tego czasu, daleko od męża, w nędzy podobno. Charakterystycznem jest, że Bülow najspokjniej dyrygował orkiestrą na *Meistersingerach*.

Teraz już rozpoczęły się dni szczęścia dla burzliwego tułacza i reformatora. Na wiosnę r. 1872 Hanslick, jeden z najznakomitszych krytyków muzycznych, profesor wiedeński, tak o nim pisał: „Wagnerowi we wszystkiem się powodzi! Wścieka się on na monarchów: a oto wspaniałomyślny król odpłaca mu idealną miłością, Pisze paszkwil na żydów: a „żydowstwo w muzyce" składa mu hołdy i śpieszy rozkupywać akcye bayreuckie. Dowodzi, że wszyscy nasi kapelmistrzowie są rzemieślnikami: a nasi dyrektorowie oper zakładają stowarzyszenia Wagnerowskie i werbują wojaków na popisy w Bayreucie. Śpiewacy i dyrektorowie teatrów, których Wagner potępia bez miłosierdzia, idą śladami jego jak zaklęci i szczęśliwi są, gdy im skinąć raczy. Nazywa on nasze szkoły muzyczne najnędzniejszymi zakładami, a oto uczniowie konserwatoryum wiedeńskiego stają ordynkiem przed Wagnerem i zbierają składkę w swej szkole na dar dla mistrza."

Z pomiędzy wielu miast i miasteczek, Bayreutowi. jako środkowemu punktowi ojczyzny niemieckiej, dostał się zaszczyt posiadania idealnego teatru Wagnerowskiego. Pozawiązywano stowarzyszenia dla dźwignienia go; dający sto talarów stawał się „patronem;" potrzeba było takich tysiąc. Król bawarski oświadczył, że da, ile będzie brakowało.

Wagner tymczasem żeni się z panią Cosimą i odradza się w synu, któremu daje znaczące imię Zygfryd — to jakbyśmy my powiedzieli Krakus, pogromca smoka. Pisze entuzyastyczny wiersz na cześć drugiego pogromcy „smoka francuskiego," na cześć świeżego cesarza niemieckiego; pisze *Kaisermarsch* i idyllę *Zygfryd* dla synka, pisze „o polityce i sztuce niemieckiej," komponuje olbrzymią poczwórną operę, przeznaczoną na poświęcenie sceny „teatru przyszłości," którego kamień węgielny położono w maju r. 1872 i osiada na czas dłuższy w Bayreucie, robiąc wycieczki koncertowe dla zbierania funduszów. Gdy te nie dość szybko i obficie napływają, nie gardzi nasz żydożerca trzema milionami od bankierów wiedeńskich. Próby, próby bez końca, Wilhelmi na czele orkiestry, Niemann na scenie, król bawarski na próbie ostatniej — nareszcie 13 sierpnia 1876 pamiętne „poświęcenie sceny." „Bayreuth— to Niemcy," woła w uniesieniu pewien anglik. Zjazd niesłychany: cesarz Wilhelm, król bawarski, cesarz brazylijski, Wielki książę Konstanty, nie mówiąc już o tłumach magnatów i dostojników z zasługi i urodzenia. Po przedstawieniu wywołano twórcę *Pierścienia Nibelungów*, wśród burzy oklasków i okrzyków; przemówił on dziękczynnie i zakończył słowami: „Widzieliście, co możemy; chciejcie teraz wy! Gdy zechcecie, będziemy mieli sztukę niemiecką!"

Ale nie wielu chciało, a bardzo wielu nie chciało. Nastały ciężkie czasy dla finansów niemieckich, pomimo ściągnięcia niesłychanego haraczu z przygnębionej Francyi. Wagner gorzko wyrzekał na swój naród i musiał koncertami w kraju i zagranicą opłacać długi, zaciągnięte na *Nibelungów*. Przystąpił wreszcie do utworzenia najwyżej nastrojonego dzieła swojego, do *Parsifala*. W lipcu 1882 był nowy zjazd w Bayreucie; dano czternaście przedstawień tej opery; na ostatniem był następca tronu pruski i wyrzekł wyrazy, które zawierają może najwyższą pochwałę ze wszystkich hymnów: „Tak to jest wspaniałe, że zdaje mi się, jakbym nie w teatrze słuchał." Zysk z przedstawień *Parsifala* pokrył koszta i wypełnił niedobory Nibelungów.

Piszą teraz, po śmierci już Wagnera (umarł 13 lutego 1883 w Wenecyi), że przygotowywał jeszcze jakąś „niespodziankę," w postaci opery, dla narodu swojego. Przyszłość okaże, czy to prawda i czy zdołał ukończyć i wykończyć tę niespodziankę. Inni utrzymują, że niespodzianką tą mają być czterotomowe pamiętniki jego.

Dzienniki rozpisywały się niedawno o ostatnich chwilach i pogrzebie głośnego mistrza; nie będę więc tych szczegółów powtarzał. Wolę zamieścić parę drobnych wspomnień osobistych, które się wiążą w mej pamięci z imieniem Wagnera.

Przedwcześnie zmarły Ignacy Zaleski, brat znanego rysownika Antoniego, posiadał obok wyższego ukształcenia ogólnego i muzycznego, obok niezwykłej piękności (którą upamiętnił brat jego w ilustracyach pamiętników Paska) cudowny głos barytonowy; on tylko i Bonoldi umieli śpiewać dotąd jeszcze nie dość ocenione i wielbione pieśni Moniuszki! Otóż będąc w Paryżu w r. 1861, Zaleski zapalił się do *Tannhäusera* i nauczył się całej opery na pamięć. Pragnąc poznać jej twórcę, udał się do niego. Przyjęty dość zimno i nieufnie, w ciągu rozmowy wyraził wielkie pochwały dla kompozycyi. Wagner z niedowierzaniem i lekceważeniem słuchał nieznajomego wielbiciela. Powiada wreszcie: a czy znasz pan choć jeden z moich utworów? — Umiem na pamięć całego *Tannhäusera*. — A no, to spróbujemy. Zaleski śpiewa każdy numer bez pomyłki, tym swoim ślicznym głosem i z tym nieporównanym wyrazem, który wszystkich zachwycał; kompozytor towarzyszy mu na fortepianie, wpada sam w zapał; w ciągu kilku godzin przeszli całą operę, a Wagner nie posiadał się z radości, słysząc takie wykonanie i otrzymując tak niespodziewany hołd, złożony jego twórczości. Odtąd rodak nasz był częstym i bardzo mile widzianym gościem u mistrza muzyki przyszłości.

Ale nie wszyscy tak się unosili jego utworami. Fétis, dyrektor konserwatoryum brukselskiego, nie znosił wagneryzmu. W zimie z r. 1859 na 1860 Wagner przybył do Brukseli, aby w sali opery dać parę koncertów, złożonych z jego utworów. Teatr był pełny. Na krzesłach i parterze siedziało mnóstwo ciekawych uczniów konserwatoryum, a Fétis z profesorami zajmował miejsce na balkonie. Po chórze z *Lohengrina* młodzież wpadła w zapał, zaczęła klaskać, krzyczeć i żądać powtórzenia; stronnictwo Fétisa sykało i gwizdało; wszczął się tumult i harmider; pan dyrektor konserwatoryum wycelował bateryę swej perspektywy na uczniów, poznał kilku i nazajutrz, gdy przyszli do niego na lekcyę kontrapunktu, dwom z nich (Hubertiemu i Raymondowi) w sposób nader przykry i opryskliwy oświadczył, że wypędza ich z konserwatoryum za sprzeniewierzenie się sztuce i oklaskiwanie kuglarza i odszczepieńca muzycznego, Wagnera.

Skończyło się na kilkutygodniowem wykluczeniu, bo młodzieńcy kończyli już konserwatoryum i pobrali byli dawniej jeszcze pierwsze nagrody, a sprawa rozgłosiła się i mogła mieć niemiłe następstwa dla Fétisa. Widać z tego drobnego rysu, jak wówczas już fermentowały zarodki rozdwojenia w sądach o Wagnerze, które dzisiaj, szczególnie w Niemczech, przybrało bardzo wielkie rozmiary i zajątrzone kształty.

Winienem oświadczyć, że z książki prof. Nohla zaczerpnąłem do szkicu powyższego tylko nić biograficzną. Nohl jest bezwzględnym chwalcą osoby i dzieł Wagnera, książka jego wygląda na ckliwy panegiryk, a autor na fetyszystę, plackiem leżącego w admiracyi przed swem bożyszczem. Takimże jest i obszerniejszy życiorys Wagnera, takiemiż będą zapewne i prelekcye p. Nohla o *Parsifalu* w uniwersytecie heidelberskim, zapowiedziane na nadchodzące półrocze letnie. Ze strony czytelnika potrzeba dużo cierpliwości, a ze strony autora jeszcze więcej zuchwałości, żeby n

twierdzić (str. 71), że Wagner „jest duchowym zbawcą swojego narodu i swojej epoki.“ A takich frazesów jest pełno, nie mówiąc już o naiwnej wierze, przebijającej się z każdego wiersz[illegible] Niemcy przodują światu w cywilizacyi, [illegible]e, moralności itd.

Ocenę muzycznych zalet i wad Wagnera znajdzie czytelnik polski w wybornej pracy Jana Kleczyńskiego (*Ateneum* 1876, tom II i III); z umiarkowaniem i wielką bezstronnością ocenia tam autor wszystkie dzieła mistrza niemieckiego po rok 1876.

Co do mnie, wyznaję, że osobistość Wagnera czyni na mnie równie wstrętne wrażenie, jak i twarz jego, której się przypatrzyłem w Brukseli r. 1860. Tyle tam mętu w tem życiu cygańskiem, tyle pychy, niewdzięczności, rozpusty, przeniewierstwa! Ale gdy w Baconie cenimy nie łapownika i nie przedajnego sędziego, lecz tylko wielkiego myśliciela, więc uczcijmy i w Wagnerze niezwykły talent. Powiadam *talent* i podkreślam: geniuszu nie dopatrzyłem a raczej nie dosłuchałem się w jego utworach, przynajmniej w tych, które miałem sposobność poznać. Jak w pismach jego czuć niedouczenie się, brak studyów systematycznych, pochwycenie jednej, najdogodniejszej zasady z filozofii Schopenhauera; jak w przekonaniach społecznych widać płytkość, wyrażającą się w żydożerstwie, we wstecznem stanowisku względem sprawy kobiecej; jak w pojęciach estetycznych razi dążność do chaotycznego zespolenia sztuk pięknych w jedną potworną całość: tak w kompozycyach czuje się brak gruntownej podstawy teoretycznej i nieposkromioną chęć narzucenia zamiast niej bezkształtnej jakiejś, demonicznej, nieuporządkowanej samodzielności. Fanatycy wagneryzmu odpowiadają zwykle na zarzuty krytyków wskazywaniem na świetne ustępy! Trudno zaprzeczyć ich istnienia; ale właśnie w tem odwoływaniu się zwolenników i w tem uznaniu przeciwników kryje się pięta Achillesowa twórczości Wagnera: są ustępy, ale niema majestatycznej jedności i ciągłości, które podziwiamy w arcydziełach prawdziwych mistrzów. Dla wypoczęcia na pięknej oazie, trzeba przebywać całe stepy, całe sahary nudów, dyssonansów, dziczyzny. W *Walkirze* naprzykład, na początku drugiego aktu dziwaczne, psalmodyjne recitativa trwają przeszło pół godziny i mogą wyprowadzić nie tylko z cierpliwości, ale i z sali najcierpliwszego słuchacza; potem znowu w ostatnim akcie walkiry śpiewają tak dziko, jak wabiący się w lesie czerwonoskórcy. To też ustęp lepszy, po takich bezdrożach, wydaje się, tem piękniejszym; ależ jaką ceną okupić go trzeba!

Zagorzalcy wagnerowscy głoszą, wtórując mistrzowi swojemu, że był on kontynuatorem Bacha i Beethovena. Może mię wszystko myli, sądzę jednak, że kto inny pielęgnuje spuściznę po tych wielkich ludziach. Powiadają też, że po śmierci mistrza, po spodziewanym upadku misteryj bayreuckich, nikt nie potrafi należycie przedstawiać utworów jego. Niepochlebne to świadectwo. Widać że bez pewnych postronnych warunków i dodatków rzecz sama niema tyle wewnętrznej wartości, aby samoistnie jaśniała. Zdaje mi się że takie utwory, jak *Don Żuan* lub *Wesele Figara* Mozarta, albo *Faust* Gounoda zachwycać będą zawsze i wszędzie, z miernymi śpiewakami, z mierną orkiestrą, w najskromniejszym teatrzyku.

Wszystko zresztą, co mówię na niekorzyść Wagnera, jako kompozytora, jest poniekąd odpowiedzią i reakcyą przeciwko przesadzie pochwał, wygłaszanych przez jego zaślepionych chwalców. Wiele też powiedziećby można i na pochwałę wysoce utalentowanego tego mistrza; umiał on (jak nikt może, prócz Berlioza) wydobywać z orkiestry takie efekty, o jakich dawniej ani marzono; umiał i głosowi ludzkiemu kazać wygłaszać głęboko serdeczne nuty; a jako człowiek służyć może za wzór nieugiętości w postanowieniu i wiary w siebie, w moc pracy i wytrwałości. Sam fakt istnienia ogromnego zastępu roznamiętnionych stronników i przeciwników, ogromnej ilości pism za i przeciw niemu ogłoszonych, wspaniałego, jedynego w swoim rodzaju amfiteatru bayreuckiego, licznych stowarzyszeń jego imienia, świadczy, że była to osobistość potężna, niezwyczajna. Czy jej wpływ, pamięć i dzieła ostoją się i jak długo się ostoją w zapasach z niemiłosiernym zębem czasu, to dopiero przyszłość okaże. Dziś jeszcze *lis sub judice est.*

Jan Karłowicz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Henryk Wernic. **Pierwszy rok nauki systematycznej.** Warszawa u Gebethnera, Wilno u Zawadzkiego.

Autor należy do nielicznych u nas pedagogów, usiłujących przeszczepić na grunt swojski korzyści metody poglądowej w nauczaniu pierwiastkowem. Jednym z owoców tych usiłowań jest obecna książka. Ze względu na potrzebę równomiernego rozwoju wszystkich sił umysłowych dziecka, p. Wernic stara się tu ująć w pewien systemat wszystkie gałęzie nauki początkowej, dla każdej z nich podając cenne wskazówki i wzory. Z tem wszystkiem, jak powiada sam w przedmowie, podręcznik jego nie jest całkowitym kursem, ale wskazuje jedynie punkta wytyczne, wypełnienie szczegółów pozostawiając nauczycielowi. Poprzedziwszy wykład kilku uwagami o ważności i zadaniu pierwszej nauki systematycznej, o stanowisku ucznia, nauczyciela i wogóle wychowawcy oraz o wzajemnym ich stosunku, p. W. dzieli go na ośm części, odpowiednio do liczby przedmiotów w pierwszym roku uczenia. W części pierwszej znajdujemy naukę o rzeczach, czyli właściwie poglądową, treściwe o niej uwagi historyczne, oraz przykłady odpowiednich pogadanek. Część druga obejmuje wykład religii, który autor radzi rozpocząć (nb. mowa o dzieciach sześcioletnich!) od opowiadań z Pisma świętego. Rozdział to najsłabszy; za dowód zaś, w jak drażliwe i kłopotliwe wobec młodocianych uczniów położenie wprowadzić może nauczyciela trzymanie się wskazówek p. Wernica w tym względzie, posłużyć może uważne odczytanie zamieszczonego na str. 81 opowiadania o narodzeniu Chrystusa. Część trzecia mieści naukę języka, czwarta — czytania, piąta—rachunku, szósta—rysunku, siódma—śpiewu, ósma — ćwiczenia gimnastyczne i pogląd na zabawy dla dzieci najodpowiedniejsze.

W każdej z tych części autor umie przemawiać do czytelników gorąco, racyonalnie i płynnie, daje pobieżny rzut oka na rozwój danej gałęzi wiedzy w przeszłości, bardzo trafne zamieszcza przykłady. Wzór planu nauk całorocznych, kilka słów o trudności powołania nauczycielskiego — oraz siedemnaście piosenek z nutami i jedna tablica rysunków, zamykają książkę, która niewątpliwie stanowi jeden z cenniejszych nabytków naszej literatury pedagogicznej ostatnich lat. Język w ogóle jest czysty, a strona typograficzna książki również nic nie pozostawia do życzenia. Szkoda tylko, że autor nie podaje literatury przedmiotu obranego, bardzo bogatej w językach francuzkim i niemieckim — co niejednego z nauczycieli naszych skłoniłoby może do przedsięwzięcia badań u źródła, oraz że w rysie historycznym ani jednem słowem nie wspomina o Fryderyku Froeblu, twórcy tak zwanych „ogródków dziecinnych“, o którym przecież każdy z wychowawców wiedzieć powinien.

Ad. J. C.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

J. A. Święcicki *Z parnasu angielskiego.*

Wbrew tytułowi, który zdawał się obiecywać przegląd całego szeregu przedstawicieli poezyi angielskiej, usłyszeliśmy w dwu odczytach p. Święcickiego obszerne i szczegółowe studyum o Tennysonie, tym wytwornym autorze „królewskich idylli,“ który swą wziętość winien był w znacznej części łasce, spływającej ku niemu z wyżyn tronu. Zanim prelegent zajął się jednak tym przesłodkim wieszczem, wywołał cienie jego poprzedników, Wordswortha, Shelleya i Byrona chyba dlatego, aby głośna wielkość Tennysona skurczyła się w tem zestawieniu. Konserwatywne trznadle nie mogły tego darować prelegentowi, że ukazał kilka promieni chwały, otaczających pamięć Shelleya, który poważył się wyzwolić myśl i pióro z pod dogmatycznej tyranii, ale można śmiało ruszyć ramiona[mi] wobec tej gorliwości prawomyśln[ej], która ostatnimi czasy staje się u nas co[raz] bardziej drażliwą. Wstępna część pierw[szego] odczytu ukazała nam w rysach skupionych a śmiałych całą doniosłość gł[ó]wnych przedstawicieli świetnego rozwoju romantyki angielskiej, tych potężnych umysłów, co pobudzając przygłuszoną przez pietyzm fantazyę, wyzwali śmiało do walki zatwardziały w swym ciemnym u[p]orze konserwatyzm angielski. Szkoda tyl[ko], [że] obrazu literackiego nie spoił silniej pr[ele]gent z prądami społecznymi, które stan[o]wią zawsze głębszy podkład dla działaln[o]ści poetycznej, będącej odbiciem i skup[ie]niem uczuć i pragnień, nurtujących w gł[ę]bi narodu. Najnowsza metoda estetyczn[ej] krytyki dowiodła, że przedstawiane w t[ak]im oświetleniu płodów literatury i sztuki daleko lepiej wyjawia ich naturę, aniżeli najzawilsze frazesowe i aprioryczne wywody, oparte na wątpliwej wartości pojęciach o istocie piękna. Ten brak dziejow[ej] krytycznej podstawy jest głównym zarz[u]tem, jaki można postawić pracy p. Ś[wię]cickiego, która zresztą dość korzystnie r[ó]żniła się od innych odczytów, pełnych w[o]dnistego wielosłowia. Prelegent, id[ąc] z biegiem twórczości poety, rozbier[ał] wszystkie cenniejsze jego utwory, stre[sz]czał je dokładnie i objaśniał szeregiem d[o]brze wybranych i szczęśliwie przetłom[a]czonych ustępów.

Co prawda, ze względu na chara[kt]er samego poety można było skupić pr[ak]tyczną stronę odczytu w rysach dale[j] treściwszych a dosadność charakterysty[ki] niceby na tem nie straciła. Nawet nieznający bliżej utworów Tennysona mogli [się] przekonać, że umysłowy widnokrąg te[go] poety jest bardzo niewielki. Opiewał wprawdzie (*Moth*) tryumfy angielsk[iego] oręża, wkraczał niefortunnie w dzie[dzinę] dziejowego dramatu (*Queen Mary*), p[o]szał kwestyę emancypacyi niewieści[ej] (*The princess*), której nie jest zwolenn[i]kiem, malował niektóre strony obyczajów angielskich (*The farmer*), jednakże prze[do]ważnie treścią jego poezyi jest delikatne kunsztowne rzeźbienie uczuć łagodny[ch], miękkich, subtelna analiza postaci [nie]wieścich, wytworne, pastelowe malow[anie] niedostrzegalnych odcieni kobiecego wdz[ię]ku... Sentymentalizm angielski lubuje [się] w tem nieskończonem wysnuwaniu [za]chwytów nad przeróżnymi typami boh[a]terek poetycznych, których Tenn[y]so[n] stworzył obfitą galeryę. Na nas sprawi[ł] cokolwiek ckliwe wrażenie owo piesz[...]

lubowanie się w drobia-
. Bardzo słusznie pominął
ty Tennysona, będące, we-
z krytyków angielskich,
nymi potworami bez dra-
kieletu. W ogólnem zamk-
bardzo trafnie i trzeźwo
wartość zakresu działania
poety. Tennyson nie należy
osobistości, które poc-
pracę wielkiego dziejowe-
e zna on płomiennego za-
ich społecznych ideałów,
i apostolstwa, którym Byron
w ofierze. W przeciwień-
ich swoich poprzedników
i spokoju, należy do gro-
czyków, którzy chcą krainę
po nad zgiełkiem i wrzawą
tynię poezyi uczynić przy-
brańców, roskoszujących się
ponętami artyzmu. Nie rozu-
zesnych prądów myśli i nie
mpatyzować. Znakomity li-
rtouz formy, należy on po-
ej współczesnej formacyi
wobec potęgi natchnień
z początku bieżącego stu-
ak pogodny odbłysk je-

s nie wysechł strumień
docznie atmosfera moral-
wzrostu i polotu wielkich
których mamy znakomi-
wytwornych literackich
iarzów formy, o szczuplej-
słów. Do tej formacyi na-
a szkoła poetów francu-
należą tacy artyści, jak
lbo nawet Asnyk, chociaż
łe niebo stoi wyżej od an-
pod względem głębokości
ia żywotnych zagadnień
nt nie rozwinął przelotnie
potrąconego zestawienia. Nie
jednak zbyt wiele, przyznajmy
zaznajomił słuchaczów bardzo
łym niemal zasobem utworów
eszcie wykład jego był ogrza-
ym zapałem, ujęty w formę
to może przesadną, ale sta-

lejski *O stanowisku kobiet wobec ustaw obowiązujących.*

ię pewnie niejedna gorliwa
emancypacyi kobiecej, wy-
czytu p. Wierzchlejskiego,
istniejących postanowień
ił przywileje i prawa płci
kresie kodeksu karnego
lnego.
y a prosty był parafra-
grafów i nie miał naj-
yi do krytycyzmu, ani
ilozoficznej oceny postanowień
Prelegent rozwodził się szcze-
stanowiskiem kobiety w ro-
eństwie, wykazywał racyo-
wienia tak zwanej władzy
zaznaczając jednak, że obecne
zawsze ochrania kobietę od
rutalstwa. Zresztą cały odczyt
użyteczną informacyą. Samo
wiedzenie go z mownicy pu-
ej formie, świadczyło o tem,
s rozpowszechnione wiado-
które jednak mają niepo-
naczenie w praktyce ży-

uwagę prelegent, że
rawa przy zawieraniu
h prowadzi często do
przykrych zawikłań
nych, a nawet cięż-
ych. Że popularny
a w wychowaniu
mężczyzn, jest ko-
na to z prelegentem
wy zabitej ćwiekami

fałszywych doktryn pedagogicznych, poświęcających dla ukutego systemu najważniejsze praktyczne potrzeby wychowańców.

K.

GALILEE VICISTI*).

II.

Nad maluczką ziemią,
Nie jeden legion czarnych chmur prze-
[płynął
I dzień nie jeden w bezdniach czasu zginął
I łza niejedna—tam, gdzie groby drzemią...
Za pokoleniem przeszło pokolenie,
Czoła schylając pod tyranów stopy,
A na tyranię i na upodlenie
Ciche patrzyły z góry niebios stropy.
Z krzyża chrystusów wszech-braterstwa
[znamię,
I aureola człowieczeństwa spadła,
I na ramionach krzyża się rozsiadła
Larwa co fałszów blaskiem lśni i kłamie...
I takie było nędz i bolów mnóstwo,
Taka jałowość myśli i martwota
I takie wszędzie ludzkich serc ubóstwo,
Jak w dniu, gdy hańbą pasła się Golgota.
Ponad Golgodą smutny i zbolały
Duch męczennika się unosił w chmurze
I tylko gwiazdy jasne go widziały.
Że był nie w zwycięstw, lecz w męki pur-
[purze,
Że jeszcze, trucizn nie spełniwszy czary,
Do nieba nie śmiał iść...
Nad Watykanem,
Za gwiazd czeredą i za chmur tumanem—
Inne postacie snuły się i mary.
Jako gromady ptaków, gdy z wysoka
Konającego drganie lwa zobaczą,
Już ze zdobyczy swej nie spuszczą oka;
To coraz mniejsze nad nią kręgi znaczą,
To znowu szersze zataczają koła,
Jak krwi zapachem przywabione sępy
Lecą w ślad śmierci czarnego anioła,
Tak z bladej gwiazdy wyjące zastępy
Przyszły szatana wypełnić rozkazy:
Nieprzełamaną, chociaż niewidomą
Chmurą w przestrzeni zawisły nad Romą
I opasały Romę dziewięć razy...

* *
*

Pan ich gdzieindziej był.
W murach Rawenny
Potęgi swojej kładł węgielny kamień
I mocą blasków złudnych i omamień
Władztwa biskupów znaczył dzień solenny.
I pragnień swoich celu był już blizki,
I zemsty pewien...
Na złocistym tronie
W płaszczu cezarów, w cezarów koronie—
Choć podwyższony tak, a jednak niski—
Zasiadał kapłan. Nad kapłana głową,
Miało piekielne spełnić się przekleństwo,
Miało szatana zajaśnieć zwycięstwo
Nad Galilei synem i Jehową...
Sługa piotrowy poił się nektarem
Ziemskiej potęgi, a szatana tchnienie
Żądzę budziło większą w sercu starem
I rozpalało ludzkiej krwi pragnienie.
I rzeczywistość zwolna przed nim zbladła
Szarym komnata okryła się mrokiem...
Szatan ją marzeń napełnił urokiem
I czarodziejskie przywołał widziadła.
Biskup usypiał, aby żyć marzeniem...
I zdało mu się, że, wśród rajskich błoni
Stojąc, wszechmocarstw berło trzyma
[w dłoni
Że stworzycielem jest, a nie stworzeniem.
Na szmaragdowym łąki oceanie,
Kwiatów wzorzyste chwiały się kielichy,
Ucho łagodnie pieścił wietrzyk cichy
Ptasząt mu hołdy niosąc i śpiewanie...
Z borów przybiegłszy, leśne zwierząt plemię
Pokornie głowy kładło mu pod stopy,
Promienne słońce jasnych świateł snopy,
Na rozmarzoną przesyłało ziemię...
Za widnokręgiem sine wstęgi borów.
Z ziemią wiązały górnych sfer błękity,
Po nad wstęgami starych grodów szczyty
Lśniły i krzyże świątyń i klasztorów...
I zdało mu się jeszcze, że u góry
Zjawia się zwolna jakaś jasność nowa,
Że się tam niebios otwarły lazury
I że do niego mówił sam Jehowa:
„Widzisz te ziemi skarby niezliczone,
Te borów wieńce i tę łąk zieloność,
Rzeki, biegnące w każdą świata stronę
I tę ogromnych mocarstw nieskończoność?
Oddam ci wszystkie, gdy za mym rozkazem
Idąc, zapragniesz szerzyć chwałę moją
I tych, co hardo w odszczepieństwie stoją—
Wrogów mych ogniem zniszczysz i żela-
[zem.
Kłaniać się tobie będą ci mocarze:
Jak potępieniec — z powrozem i bosy
Przyjdzie nie jeden aż do bram Kanosy,
Gdy mu o łaskę błagać cię rozkażę...“

Tak marzył biskup. Nad biskupa tronem
Miało się spełnić szatana przekleństwo
Miało szatana zajaśnieć zwycięstwo
Nad Galilei prawem i zakonem...

* *
*

Nad Augustyanów ponurym klasztorem
Para gołębi śnieżnych się trzepocze
Słońce na gody strojąc się wieczorne,
Wstęgę zieloną wplotło w swe warkocze.
Jak świt nadziei, co duszę weseli,
Tak rozweselał nieba blask wieczorny
Samotną celę, a w samotnej celi
Nad starą księgą klęczał mnich pokorny.
Choć miał na sobie szaty pokutnicze —
Taką jasnością był opromieniony,
Jak ten co prawdy ogląda oblicze,
Jak wniebowzięty, albo jak natchniony,
„Dzięki ci, wołał, dzięki ci, Jehowo,
Dzięki za rajskie na ziemi słodycze,
Twoje łaskawe widzę znów oblicze!
Dusza ma wiarą znów odżyła nową...
Więc to nieprawda, żeś ty naszym wro-
[giem,
Że twym orężem klątwy są i kary...
O, nie! Tyś zawsze był miłości bogiem!
Za cóż więc czernił ciebie, gród twój stary?
Przeklęta Roma! Na zbolałe rany,
Zamiast balsamów, kładła piekieł jady
I udręczony lud twój i znękany,
Strachem męczyła śmierci i zagłady...“

Powstał. A idąc między biednych tłuszczę
Wołał: „Uciszcie serc zbolałych bicie!
Nieodpuszczone grzechy wam odpuszczę
I w dusze wasze nowe wleję życie.
Nie wierzcie Romie! Wszak miłości pana
Oni ukryli zdradziecko przed nami;
Lecz Bóg naszemi skruszył się już łzami.
Bracia, padnijcie ze mną na kolana.
Tak jest. Nad Romą wisi klątwa boża!
Duma piekielna mózgi im upaja.
Czyż nie widzicie, jak szatanów zgraja
Ich na manowce wiedzie i bezdroża!...“

* *
*

Zdala od sióstr swych i zdala od słońca,
Jak przed wiekami była gwiazda—mara...
Po niej samotny błądził duch Cezara,
Czekając walki i rozpaczy końca.
Przed nim piekielnym ogniem błysły
[chmury,
Zjawił się szatan, nowym tknięty ciosem
I, jak przed wieki — groźny i ponury
Mówił do niego piorunowym głosem:
„Patrz, apostato, na ziemi germanów,
Podły mnich jeden ujrzał prawdy słońce;
Galilejczyka rozbiegli się gońce...
Trudy dziś moich zniszczyć chcą szatanów.
Lecz ja nie ścierpię, by modlitwa cicha
Miała zagłuszyć sławy mej odgłosy!

*) Patrz nr. 9.

Ja nie dopuszczę by błaganie mnicha
Miało za Romę przebłagać niebiosy.
Ja im od wschodu słońca i zachodu
Ludy ukażę i ziemi obszary
I pójdą — niosąc na hańbę narodu,
Wiecznej zagłady i śmierci sztandary.
I niech za hasło w tym swoim pochodzie
Wezmą: „Dla zysków — prawdzie prze-
[niewierstwo!..“
Aż wiek po wieku, naród po narodzie,
Rzuci im klątwę za ludów morderstwo!“

Tak mówił szatan...

Maryan Bohusz.

LIBERUM VETO.

Badania mikroskopowe. — Krytyczne uwagi kronikarza *Ateneum*. — Stara idea i nowe jej postacie. — Gdyby. — Wezwanie do ofiary. — Tylko my... — W imieniu cudzej skóry. — Trwałe pamiątki księdza biskupa. — Jego utwory poetyczne. — Kilka słów o wolnej woli i prawie konieczności. — Wezwanie do utworzenia nowej religii.

Cyropedyi i ód łacińskich nie rozbierali w szkołach polityczy nasi z taką drobiazgowością, z jaką rozbierają nasze wskazania. Pomijając lekką kawalerye, która wyrwawszy to lub owo zdanie, pędzi na tanim koniku z krzykliwym alarmem; pomijając całą mizeryę, która z tem większym zapałem atakuje cudzą cześć, im mniej ma własnej do stracenia, pomijając oszczerców, prowadzących swoje rzemiosło pod szyldem „swobodnej i uczciwej wymiany zdań“, zadziwiającą jest mikroskopowa analiza jednego artykułu, dokonywana przez pisarzów poważnych i sumiennych. Zdaje się, że przedmiotem badań nie jest publicystyczny wywód, ale ustawa, manifest, proklamacya. Nawet skromne spójniki i przyimki idą pod szkiełko i podlegają szczegółowemu rozbiorowi. Z kolei nad mikroskopem pochylił się kronikarz *Ateneum*, który jednak nie wynalazł zabójczych bakteryj. Uwagi swe krytyczne wypowiedział on w tonie przyzwoitym i poważnym, chociaż niemi przekonania naszego w żadnym punkcie nie podważył. „Myśl reformy społeczeństwa — powiada on — widzimy w czyn wcieloną już na początku naszego stulecia.“ Więc cóż z tego? Więc o wyjątkowem *jakoby* poświęceniu, i bohaterstwie chwili obecnej nie należy mówić. Daleko chyba więcej jest przesady w tem zmniejszaniu ciężaru obecnych zadań, niż w naszem przyznaniu im wyjątkowości. Autor, puściwszy myśl swą za śladami idei w przeszłość, zbyt słabo widzi warunki teraźniejsze. I po co myśl pracy organicznej wywodzi od Czackich, Staszicców i Łubieńskich, kiedy bez żadnej przeszkody mógłby ją odnieść do Zygmunta Augusta lub Kazimierza W.? Myśl ta, wzięta w oderwaniu, jest tak stara, jak dzieje ludzkie, ale w pewnych chwilach wysuwa się na czoło zasad społecznych, nabiera szczególnego znaczenia. Co innego wyrażała ona w epoce Staszicców i Czackich, a co innego dziś. Taką zaś, jaką jest dziś, zrodziła się przed kilkunastu laty nie błyskiem kilku głów, ale szeroko odczutą koniecznością wielu. Nie mogę ważyć i porównywać ciężaru zadań poprzednich i obecnych, sądzę jednak, że różnica zbyt przemawia za wyjątkowością ostatnich, ażeby tu dał się postawić słusznie znak zapytania.

Nazwaliśmy postępowców obrońcami ludu. Pięknie — ale po co monopol? pyta kronikarz *Ateneum*. Kto mówi o monopolu? Nie ulega wątpliwości, że żywioł liberalny u nas okazuje się najbardziej demokratycznym, najgorętszym rzecznikiem praw i potrzeb ludu, czy to znaczy, że oprócz nich nikt więcej przy tych kratkach nie stoi? Najzupełniej wierzę w istnienie inteligentnych ziemian i księży, którym wieś nasza zawdzięcza wiele dobrodziejstw, ale jeżeli idzie o to, w jakiej sferze lud nasz największą zyskał sympatyę, to niewątpliwie w postępowej. Zapisując fakt, nikogo nie spędzamy z pola. Niech na nie wyjdzie i obywatel wiejski i przemysłowiec i żyd i chrześcijanin i konserwatysta i postępowiec; czyj zagon będzie lepiej zorany i czyje ziarno lepszy plon wyda — to rzecz inna. Kronikarz *Ateneum* żąda od nas (tylko od nas!) „jeszcze jednej ofiary, nie z przekonań, bo to rzecz święta, ale z pewnych uprzedzeń, nawyknień czy niechęci, *może nsprawiedliwionych*, w których genezę wchodzić zresztą *nie potrzebuje*.“ Szkoda! Geneza ta bowiem byłaby bardzo ciekawą i może tak dalece usprawiedliwiłaby“ owe „niechęci“, że aż usunęłaby obowiązek owej „ofiary.“ Kto ma ją spełnić? Postępowcy — ci postępowcy, w których przeciwnicy nie uszanowali ani talentu, ani wiedzy, ani prostej, zwykłej uczciwości, na których rzucano góry obelg, tumany szczypiącego pyłu, ulewy złośliwego jadu? Ci ludzie, których karmiono tylko piołunem, mają słodzić poncz przyjacielskich biesiad z toastami „kochajmy się?“ W sądzeniu ludzi trzeba zaglądać nietylko do kodeksu, ale i do psychologii. A ów kodeks także nie wymaga, ażeby jedna strona trzymała chleb w rękach, gdy druga trzyma kamienie. Niech kronikarz zechce przejrzeć roczniki pism postępowych i konserwatywnych i porówna ich wzajemnie względem siebie sprawiedliwość: tam stała chęć utrzymania się w słusznym sądzie, tu stała chęć szykany. Jeżeli istnieje gdzieś w zakątku człowiek, który czyta tylko *Prawdę*, znajdzie w niej wiele dowodów uznania dla organów konserwatywnych, ale jeżeli jest taki, który zamyka swój wzrok w granicach niejednego dziennika warszawskiego, to *Prawdę* znać będzie tylko z niegodziwych przygryzków. Takie dzienniki nie potrzebuje robić „jednej ofiary!“ Łatwo to wołać nie krzycz, gdy nie czujemy cudzego bólu. *Kuryer Poznański* zamianował niedawno Jeża odstępcą, a *Dziennik Poznański* nazwał tę nominacyję „grzeszną jednostronnością.“ Wstrzemięźliwie — nieprawdaż? ale w imieniu cudzej skóry. W swojej inaczejby to brzmiało — jak zasługuje.

Przyznać jednak muszę, że wysokość ofiary, żądanej od nas, jest daleko mniejszą, niż poświęcenie narzucone J. E. biskupowi Gintowtowi z Płocka. Jedno z pism fałszywie doniosło, że ksiądz biskup zamierza swą galeryę obrazów i bibliotekę darować miastu. Oburzony tem jakiś dobrze poinformowany płoczczanin, prostuje w *Wieku* błędną pogłoskę i przypomina, że ksiądz biskup nietylko położył trwałe zasługi jako pasterz i administrator dyecezyi, ale nadto, cały dochód z wydanych nakładem własnym *utworów poetycznych* przeznaczył na niezamożnych uczniów miejscowego gimnazyum. „Zdaje się — woła „płoczczanin“ — że to są *dosyć trwałe* pamiątki i innych J. E. pozostawiać *nie potrzebuje*.“ O tak, a chociaż my nie uwierzyliśmy wieści o bibliotece i galeryi, zwiększamy jednak swoim głosem publiczne na nią przeproszenie. Co zaś do owych „utworów poetycznych“ musiały one być szybko rozchwytane, kiedy nawet Estreicher nie zdążył zapisać ich tytułu do swej *Bibliografii*, uczniowie zaś skutkiem tego otrzymali pewnie znaczną zapomogę. Uzyskawszy taką „trwałą pamiątkę“, czy możesz nienasycony Płocku żądać jeszcze więcej?

Nowoje Wremia i *St. Peters. Wiedomosti* gniewają się na nas bardzo — jak świadczy *Gazeta Polska* — że wystawa obrazów malarzów rosyjskich w Warszawie albo raczej Warszawa w wystawie nie zostawiła „trwałej pamiątki“. Nagana, jaką z tego tytułu otrzymaliśmy, byłaby logiczną, gdyby we wszechświecie zdarzały się zjawiska bez przyczyn. Niestety, tak nie jest. *Alles, was ist, ist vernünftig* — co znaczy po polsku, jeśli Hegel ma racyę, że obojętność publiczności warszawskiej względem wystawy była przyczyną, których gałązki tkwią w gruncie *N. Wremieni*. Radbym niezmiernie, ażeby to pismo stosowało względem nas filozofię Hegla i prawo przyczynowości. Do licha, jeżeli cegła, spadająca z dachu na głowę przechodnia, uniewinnia się tem prawem, dla czego ono niema służyć nam ludziom? *Ducunt volentem fata, nolentem trahunt* — mówili starzy.

Przebacz mnie osobiście pobożna duszo, która w swym liście trudzisz przeciw nam ś. Pawła. Powtarzam setny raz, że co innego jest religia, którą, jako szczere przekonanie szanuję, a co innego jej kuglarze, których nigdy szanować nie będę. Co z nią już się robi, posłuchaj ogłoszenia w *Newyork - Herald*: „Poszukuje się ludzi inteligentnych, ukształconych dam i mężczyzn, którzy nie są zadowoleni ze wszystkich dotychczasowych wyznań i pragnęliby zaprowadzić między sobą oraz rozpowszechnić nową wiarę. Adresy proszę składać itd.“ Rolę mesyasza lub reformatora przejmuje już dziś zwykły przedsiębiorca, który werbuje wiernych za pomocą inseratów. Do tego doprowadził postęp — religijny. Ostrożnie, ostrożnie...

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Pan Wojciech Miotła i piąta niedziela postu. — Ci co nie mają „dosyć“ i ci co mają „dosyć.“ — Określenie Trentowskiego i moje.—Święty Felicyan jako obrona „pierwiastków.“ — Mazgajowaty chłopiec i Białystok. — Zabobony i pewniki naukowe. — Kilka rodzajów eskulapa. — Pośmiertna gimnastyka. — Kłopoty rejenta w Stopnicy.

Upił się, jak mógł najlepiej, i tak mu się błogo zrobiło na sercu, że zaczął sobie gwizdać; po chwili jednak oprzytomniał, a uderzywszy się pięścią w gębę rzekł: „milczałbyś oto, grzeszniku, czyż nie wiesz, że to dzisiaj post święty.“ To powiedziawszy, przeżegnał się, westchnął kilka razy pobożnie, a namacawszy jakąś „wdowią dyskę“ w kieszeni kamizelki, poszedł i złożył ją za pokutę na... szynkfasie.

Tak rozpoczął piątą niedzielę postu pan Wojciech Miotła, wicekonsul jednej z posesyj przy ulicy Twardej. Patrząc nań, podziwiałem najprzód zbawienny wpływ teologii, która powstrzymała go od grzechu gwizdania a potem oddałem w myśli hołd jego wysokiemu zamiłowaniu prawdy, spoczywającej, jak wiadomo, na dnie kielicha.

Prawda, której pan Miotła szukał z takim mozołem, przeniosła się jednak była na pole mojej „Perspektywy.“ Stróżu Wojciechu, szeptała ona, jakże mi przypominasz pewien naród słowiański, który, śpiewając hymny kantyczkowe, oślepł i ogłuchł na wszystkie swoje winy społeczne... Gotów on jest lżyć i kneblować wszelkie usta, pragnące gwizdaniem bodajby ocucić ze snu postne głowy i serca, ale za zbrodnię nie uważa sobie tego, że kielich po kielichu wypija usypiającą go truciznę samouwielbienia i błagi.

Tak mię zasmuciły słowa tej nieznośnej prawdy, żem się nie mógł pocieszyć nawet wiadomością o zawiązywaniu nowych spółek rolniczych w Płockiem i w Pułtuskiem. To błaga, mówiłem sobie, myśli obywatelskiej w tem niema; jest tylko osobista chęć zysku... Zaraz jednak zburczałem siebie za ten pesymizm i zacząłem spokojniej już czytać sprawozdanie.

„Na zebraniu jeden z obywateli zaproponował, aby do spółki przypuszczani byli i chłopi... Zakrzyczano go słowami: mają oni i bez nas dosyć! Wniosek okazał się

...alece niepopularnym, że nawet nie ...ano go głosowaniu..."
...zumie się, panie dobrodzieju, że mają ... Alboż nie zrobiliśmy już wszyst..., co od nas zależało, aby ich z sobą ...lić i przez to sił społeczeństwu przy...yć? Alboż nie uwłaszczyliśmy ich ... 20 laty, nie pozyskaliśmy ich serc ...ebie i kraju? Alboż nie mają oni swo...dzimej ciemnoty, swoich czarownic ...achorów pobożnych pielgrzymek ...drującej pobożności, miejsc cudo...h i cudów miejscowych świeczek ...zczu trupa i pęcherzów z gorzałką? ...aż nam czegoś więcej do utrzymania ...j odrębności?
... dziwmy się ziemianom obradują... Urodziwszy taką górę, jak spółka ...za, musieli oni spocząć na laurach. ...owski powiedziałby o nich zapewne, ...li „w trójsłupie błogostanu," ja zaś ...muję, że się znajdywali w błogim ... słupów, które, jak wiadomo, tem są ...e nad ludzi, że nie potrzebują my...ogicznie. Gdyby bowiem logika nie by...ałkiem obcą zadowolonym z siebie ...aczom, to postaraliby się przynaj... o inne argumenta na niekorzyść ...tunnego projektodawcy; tymczasem ...mają dosyć" tchnie takim sobkow...n, taką ślepotą umysłową, taką nie...mością praw ogólnego rozwoju spo...łstw i naszego osławionego „położe...że chyba tylko w jakimś „trójsłupie" ...nienie jej znaleźć można. Najgorszym ... wszystkiego jest ten fakt dziwny, ...rzez ciąg całych dziejów ani jedno ...ie, ani jeden rok nawet nie zatrzy... się dla nas w swoim pochodzie. Gdy...ie to — miński korespondent *Słowa* ...otrzebowałby teraz uskarżać się na ...łęstwo swoich współobywateli, którzy ...wolnie opuszczają nieliczne, pozo...ne im placówki.
...zed kilkudziesięciu laty założono ...ńsku, staraniem okolicznych ziemian, ...arzystwo Dobroczynności. Po roku ...zarząd Towarzystwa przeszedł w in...ce, wskutek czego zagęściły się w niem ... rozmaite „nadużycia" i „nieporząd... Słowem, mieszkańcy Mińska, chcąc ...biedz złemu, udali się do władzy wyż... z prośbą o dopuszczenie do zarządu ...arzystwa większej ilości pierwiastków ...scowych. Prośba została wysłuchaną. ...naczono termin pierwszego ogólnego ...nia, na które wszyscy interesowani, ...wykle u nas tłumnie... nie przyszli. ...ąd Towarzystwa w składzie swoim ...legł żadnym prawie zmianom, a za...eni obywatele pójdą zapewne szukać ...echy w kaplicy św. Felicyana, który ... patronem miasta, a jako święty zara...służy przecie za przedstawiciela ...ystkiego co... mińskie. Inne ręce nie...kie urządzają teraz widowiska i zaba...a rzecz ubogich, wspomagają uczącą ...łodzież i... pozyskują jej serca; a szan...ne „pierwiastki" wyszedłszy z zakry... mogą wydawać tylko niewyraźne ...czenie o zagładzie wszystkiego, co ...skie, co dobre itd.
...ozmodleni nie widzieliśmy, gdzie jest ...ne źródło sił żywotnych. Gród Syreni ...umiał stać się sercem naszej ziemi. Aż ...eś nad Newą urodzić się musiało pi..., które pokazało naszym gazetkom, że ...tępy panny Mini i Mani nie wiele ob...lzą mieszkańców Poniewieża... Do na...o szczęścia brakło zawsze tego, aby ...ystkie nasze teatry i teatrzyki się spa...i aby towarzystwa muzyczne przynaj...j z połową swoich członków zapadły ... ziemię.
...rzykrym jest widok sześcioletniego ...pca, który, upuściwszy jabłko, zaczyna ...eć mazgajowato i, ocierając oczy za...usanemi rękami, nie może się domy...że owoc upadły należy podnieść. My ...szem życiu społecznem mamy już po...więcej niż sześć lat poza sobą, a do...tychczas nie umiemy nawet... zabawić się bez niańki. Skargi na koteryjność towarzyską sypią się zewsząd. Jedną taką gałązkę, zroszoną łzami żalów, posadził w *Echu* jego białostocki korespondent. Zacni mieszkańcy Białegostoku, posłuchajcie, jak ona wygląda: „Bee... Warszawo, my się chcemy ba...awić... ale... mhee... nie umiemy... Wprawdzie nie...emcy uczą nas w swoim klubie „Harmonia," jak to można małym kosztem czas przyjemnie przepędzić, ale my... chlip... chlip... wielkie niedo...pchu...łęgi." Cicho dziatki cicho! Przyjdzie tam do was zaraz niania w bufiastej koszuli z czerwono-zielono-żółtym gorsem i w niebieskich paciorkach, to was zabawi i uspokoi. Nauczycie się zgody i oszczędności a nie będziecie urządzali na małorosyjską operę *Natałkę Półtawkę* (cel dobroczynny) biletów *imiennych*; nie będziecie wśród siebie mieli pseudo-arystokraków i murów chińskich. Jeżeli zresztą ta wasza arystokracya ma z *Natałką Półtawką* coś więcej wspólnego nad to, że jej słuchała, to napiszcie do jakiej *dalszej* niż *Echo* gazety.

Umiemy za to łudzić siebie, że przesądy i zabobony znikają coraz bardziej z pomiędzy „naszych kmiotków." Tak jest, przesądy znikają—pozostały tylko tu i owdzie takie niezbite pewniki naukowe, jak ten np. że kadzidło zrobione z czaszki ludzkiej skutecznie odgania zarazę na bydło. Za natchnieniem tych światłych wskazówek nauki, jacyś jej adepci z okolic Hłuska (gub. Mińska) wykopali sobie trupa niedawno pochowanej żydówki i odcięli jej głowę...

Chciałbym, aby dym ich kadzidła ocucił ze słudzeń *Gazetę Lubelską*, która zachęcała niedawno młodych lekarzy naszych do osiedlania się na prowincyi, twierdząc iż zabobony i znachorstwo ludowe nie zrobi już im silnej konkurencyi. Zapewnienie gazety, choć bezzasadne, nie pozostało jednak bez skutku. W okolicach Janowa usadowili się dwaj jacyś operatorowie z rodu cygańskiego. Byli oni oprócz tego wyznawcami czarnej magii a jako tacy lubili otaczać się tajemniczością. Wiadomo każdemu, kto nie potargał jeszcze itd. że człowiek staje się *niewidzialnym* przy świetle lampy, której knot robi się z żyły nienarodzonego jeszcze dziecięcia. Takiej właśnie żyły zaczęli szukać nasi magowie. Aby ją otrzymać, należało zgładzić ze świata jakąś przy nadziei będącą niewiastę... Kowal wioskowy sprzedał cyganom żonę swoją, która się kwalifikowała do bezecnej operacyi. Miłość małżonka ustąpiła wobec pokusy 400 rubli. Plan zbójecki ułożono umiejętnie: biedna kobieta miała postradać życie w lesie, dokąd udała się dla zaniesienia obiadu mężowi, wypalającemu węgiel. Ofiarę przywiązaną już do drzewa uwolnił z rąk oprawców dzielny leśnik miejscowy, który celnym strzałem zabił jednego i ciężko ranił drugiego cygana.

Inny mniejszej sławy chirurg osiedlił się w Lidzie. Za skromne wynagrodzenie dwustu rubli kaleczy on młodych Wojtków i Bartków, niechcących iść do wojska... Powiedziałbym coś tutaj o ciemnocie i demoralizacyi naszego ludu, ale przypominam sobie, że „mają już dosyć."

Co prawda, to i udyplomowani konsyliarze nie zawsze bywają dobroczyńcami prowincyi. O jednym z takich złośliwych synków Eskulapa opowiadają gazety co następuje. W szpitalu Zawiercia leczyła się biedna suchotnica. Ponieważ miała ona śmiałość chorować za długo, jak na swój stan majątkowy, więc pan doktór pieczę o niej polecił kamieniom brukowym, w tej nadziei zapewne, że Bóg litościwy i z kamienia chleb może zrobić, gdy zechce. Nie doczekawszy się jednak cudu, znękana pacyentka wróciła do szpitala, gdzie pokryjomu przygarnęła ją dozorczyni; ale pan doktór dowiedziawszy się o tem, i chorą i dozorczynię wypędził... Suchotnica umarła bardzo prędko wśród tych ciągłych podróży, a dozorczyni? Ona opowiada może teraz w gronie pobożnych niewiast o złem sercu ludzi uczonych, do jakich chciałby zapewne zaliczyć się i pan doktór?

Daleko troskliwszą opiekę nad zdrowiem swoich parafian roztacza proboszcz z N. Księżyna czuwa nad tem, aby wychowanie i rodzaj życia prostaczków były w zgodzie z hygieną. Nadewszystko wierzy on w zbawienny wpływ ćwiczeń gimnastycznych i dlatego też zmusza swoje owieczki do wykonywania ich nawet... po śmierci. Brama cmentarza jest od niepamiętnych czasów zabitą na głucho, więc trumna wraz z nieboszczykiem dostaje się na miejsce spoczynku przez wierzch parkanu... Ceremonia poświęcenia ciała i grudki ziemi odbywa się przed cmentarzem, po czem rozpoczyna się windowanie zwłok. Towarzyszący pogrzebowi mężczyźni dostają się za ogrodzenie przy pomocy rozlicznych sztuk łamanych; niewiasty zaś odbywają daleką podróż naokoło aż do miejsca, gdzie wysoki parkan drewniany przechodzi w dość niski wał ziemny. Można sobie wyobrazić, ile na tych wszystkich hecach traci majestat śmierci i powaga księdza w oczach prostaczków. Ci ostatni bowiem pamiętają, że składki na nową bramę są zbierane oddawna, że można już było ulatwić tę nieszczęśliwą wędrówkę do krainy cieniów... Ej proboszczu, poszukaj no tam jakiej belki w oku własnem, możeby się z niej udało wypiłować kilka desek na nową bramę... Gimnastyka pośmiertna jest dolegliwością, od której zwalnia się dusza jaśnie wielmożna; dowodem niedawno oprawiony pogrzeb jednej malutkiej, ale wybranej duszyczki, dla której potrafiono zburzyć nawet część ogrodzenia.

Dla pocieszenia się po tych wszystkich „utrapieniach" dzisiejszej perspektywy, posłuchajmy wesołego opowiadania o kłopocie pewnego rejenta w Stopnicy.

Do tego męża wielkiej powagi i cnoty przyszedł stary wieśniak z siedmiorgiem dzieci, pomiędzy które chciał podzielić swój grunt 30-morgowy. Ponieważ jednak, według prawa, działki włościańskie nie mogą zawierać mniej od sześciu mórg, przeto pan rejent, za zgodą starego wieśniaka, obdzielił tylko pięciu jego synów; dwie zaś najstarsze córki już zamężne i nieco wyposażone, miały otrzymać pewne kwoty w gotowiznie. Przekładając jednak czarną ziemię nad białe srebrniki, a nadto uroiwszy sobie, że rejent jest przyczyną niedoli ich i ich dzieci, poczciwe kobieciny pokładły u nog urzędnika swoje wrzaskliwe niemowlęta i starsze bębny, a same uciekły... Dopiero policya przywróciła notaryuszowi spokój, a improwizowanym podrzutkom—słodycze macierzyńskiego uścisku.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 marca.

Zaburzenia robotnicze i ruchy agrarne. — Organizacya anarchistów hiszpańskich. — Polityka kościelna księcia Bismarka. — Konferencya dunajowa. — Zarządy kolei galicyjskich.

Ostatnie zaburzenia robotnicze w Paryżu, jakkolwiek mogły być w pewnym stopniu objawem sztucznym stronniczej agitacyi, skierowanej przeciw rzeczypospolitej we Francyi, niemniej jednak budzą obawy i dają do myślenia. Dają do myślenia tem bardziej, że nie są one w swoim rodzaju zjawiskiem odosobnionem.

W ręce rządu hiszpańskiego wpadły świeżo dokumenty spiskowe, z których

okazuje się, że organizacya anarchiczna jest tam niezwykle rozgałęziona i systematyczna. Cały kraj podzielony jest na tajne okręgi, członkowie ich wyznaczone mają czynności wedle wieku, płci, stopnia wykształcenia i zajęcia. Każde koło posiada własnego przywódcę, a wszystkie wzajemnie o sobie nic wiedzą. W samej Andaluzyi, Estremadurze i Murcyi działa około 130 związków, podzielonych na 380 kół z 42.000 członków. Masa spiskowców nie wie nic o całej tej organizacyi, tajnych trybunałach i zakresie ich działania. Kierownicy i przywódcy posiadają liczne organa prasowe, jak: *Autonomia*, *Kronika robotnicza*, *Przegląd socyalny* i wiele innych; wydają obok tego mnóstwo dzieł popularnych i broszur okolicznościowych.

Wobec tego głośne zatargi kościelne, które mianowicie w Niemczech robiły tyle wrzawy, schodzą w cień zupełnie wraz ze swymi bohaterami. Zagmatwane układy rządu niemieckiego z papieżem grzęzną nieustannie w błocie podejrzliwości i nieufności wzajemnej. Winien temu niemało system, którego zwolennicy sądzą, że wszelkie kwestye społeczne rozwiązywać można za pomocą dyplomatycznych sztuczek i łamańców. System ten nie pozwala w Niemczech na zaprowadzenie ładu w stosunkach kościelnych. Książe Bismark, który wystąpił z walką kulturną, chciał oswobodzić umysły od ucisku rozszczeń klerykalnych. Postępowa część narodu zrazu przyklasnęła jego usiłowaniom; prawdziwi jednak zwolennicy wolności zostali bardzo zrażeni tem, że obok ustaw wolnomyślnych przedsięwzięto niewłaściwe środki ucisku. Kanclerz państwa zaręczał, że środki te niezbędne są dla zapewnienia tryumfu jego działań i liberalni udzielili mu swego poparcia. Mimo to porzucił ich, gdy nie chcieli zgodzić się na nowe cła i podatki. W nadziei osiągnięcia tego zatwierdzenia przy pomocy partyi katolickiej, kanclerz rozpoczął układy w sprawach kościelnych, ale partya zażądała pewnych rękojmi od kanclerza, czemu on odmówił. Tym sposobem, siadając na dwóch stołkach, znalazł się nagle między niemi. Kokietował z dwoma stronnictwami, i oba go porzuciły. Wędrówki te z jednego obozu do drugiego silnie mu zaszkodziły. Ultramontanie spostrzegli, że czynił im obiecanki jedynie dla zjednania sobie ich poparcia w przyjęciu przez sejm nowych podatków, a na umizgi nowe patrzyli z niedowierzaniem. Obecnie kanclerz zwraca się znow ku stronnictwu liberalnemu.

Konferencya dunajowa nareszcie zakończyła długo przewlekające się czynności. W uchwale przez nią ułożonej wnioski Barrera zostały prawie w całości przyjęte, a pełnomocnictwo komisyi Dunaju przedłużone na lat 21. Władza jej rozciągać się będzie od Braiły aż do Wrot Żelaznych. Przestrzeń tą oddaną zostanie w bezpośrednie zawiadywanie tak zwanej komisyi mieszanej, złożonej z przedstawicieli Rumunii, Bułgaryi, Serbii i Austryi oraz jednego z członków komisyi europejskiej. Serbia i Rumunia będą mianowały podinspektorów tej części rzeki, do których przytykają ich wybrzeża.

Koło polityczne we Lwowie podniosło znów sprawę przeniesienia głównych zarządów kolei galicyjskich do kraju, a dzienniki tameczne popierają je gorąco. W istocie ciężka krzywda dzieje się Galicyi pod względem ekonomicznym przez to, że tak ważne interesy jak kolejowe skoncentrowane są w Wiedniu. Gdyby w jakimkolwiek kraju, korzystającym z praw konstytucyjnych, mającym własną reprezentacyę, rząd wobec życzeń wyraźnie przez nią wypowiedzianych zachował się już nie tylko tak niechętnie jak w tym przypadku, ale obojętnie — wywołałoby to burzę legalną, lecz niewątpliwie dość silną, aby na postanowienia odnośne wywrzeć wpływ. Odbywałyby się w kraju całym meetingi, dziennikarstwo wrzałoby od silnych wystąpień, a reprezentacya zasypana byłaby prośbami o krociach podpisów. W Galicyi dzieje się inaczej, chociaż każdy wie jak wielką ponosi szkodę przemysł krajowy, gdy wszystko, czego potrzebują koleje sprowadza się z Wiednia; chociaż każdy czuje, jak niegodziwem jest pokrzywdzenie młodzieży technicznej, która nie może znaleźć miejsca, bo zawsze niemcy mają pierwszeństwo. Wszystko to wiadomo — ale na tem koniec.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Echa przedwyborcze. Niknące zwykle w morzu ogólników programy stronnictw galicyjskich zaznaczają się przed wyborami silniej. Wyraźniejszem i więcej stanowczem stara się być nawet *Diło*, znane naszym czytelnikom ze szczególniejszej wstrzemięźliwości w szczerem wypowiadaniu swoich myśli. Nie czyni jednak i teraz tego wprost, ale zasłania się tarczą „artykułów nadesłanych.“ Otóż w jednej z takich „nadisłanych statej“ jego znajdujemy wiele myśli, godnych powtórzenia.

„Jako naród żyjący, świadomy swojej odrębności, powinniśmy czuć w sobie także i godność narodową. Mamy racyę i prawo do życia i rozwoju naszych sił i to prawo uważamy za dar przyrody a nie za łaskę pańską—stanowczo też odpychamy wszelkie poniżające traktowanie, nie przyjmujemy miłosierdzia, ale żądamy tego, co się nam słusznie należy. Ani Stadyon nas stworzył, ani hr. Borkowski zmiótł z oblicza ziemi (znane jest twierdzenie niektórych szowinistów galicyjskich, jakoby hr. Stadyon, namiestnik Galicyi, wynalazł rusinów w r. 1848 na przekorę polakom i wykrzyk hr. Borkowskiego: „niema Rusi!“ Przyp. Red.), nie żyjemy dla parady, ani dla upiększenia tylko krajowego herbu. Kto rozmyśla nad modus vivendi z nami, albo też sympatyę naszą dla swej sprawy pozyskać pragnie, musi uszanować godność naszą narodową. Prawa nasze nie mogą być przedawnione, ani przegłosowane. Żyjemy w państwie konstytucyjnem, a że nie jesteśmy bezdomnymi cyganami, ale stanowimy lud glebae adscriptus et contribuens, nikt nie może nam zaprzeczyć używania w całej pełni swobód konstytucyjnych.

Żyjąc z polakami na jednej ziemi, nie zaprzeczamy im prawa do swobodnego rozwoju na ich własnym narodowym podkładzie, nie chcemy zagradzać im drogi do oświaty a nawet przeszkadzać ich dążeniom do państwowego samobytu — ale w granicach etnograficznych. Stanowiska tego nie porzucimy i żądamy, aby pożycie nasze wspólne opartem było na sprawiedliwości, na wzajemnem uznaniu praw i poszanowaniu odrębnych pierwiastków narodowych. Niech polacy zastąpią dotychczasową utylitarną katolicko szlachecko- i narodowo-szowinistyczną politykę polityką zasadniczą, realną, czysto narodową a sprawiedliwą — porozumienie nastąpi rychło.“

Językiem państwowym — jeżeli wogóle może być o nim mowa w znaczeniu, jakie pojęciu temu nadają niemcy austryaccy — jest w Austryi faktycznie niemiecki. Mówi nim cała machina rządowa, władać nim musi każdy żołnierz, jeżeli dosłużyć się chce stopnia, choćby już nie marszałka, to przynajmniej kaprala. Nie wystarcza to przecież niemcom. Bojąc się bowiem, aby dzisiejszy stan rzeczy nie zmienił się kiedyś, wnieśli centraliści w Radzie państwa projekt do ustawy, mającej orzec stanowczo, że językiem państwowym Austryi jest tylko niemiecki, że zaś z wnioskiem takim wystąpili teraz, gdy są w mniejszości, wytłomaczyć da się to tem, że liczyli na pomoc niemców autonomistów, trzymających obecnie z prawicą. Jaki los przypadnie w udziale temu projektowi, nie wiadomo jeszcze: obecnie znajduje się on w komisyi, później zaś dopiero przedstawiony zostanie plenum Izby. Napotkał jednak odrazu stanowczy opór w prasie autonomicznej. I tak czytamy w czeskim *Pokroku*.

„Zdrowy rozum ludzki powiada, że państwowym językiem jest ten, którego się używa w jakiemś państwie. We Francyi—francuski, we Włoszech—włoski, w Anglii zaś państwowym językiem jest angielski. Inaczej rzecz się ma w Szwajcaryi, w której nie może być i nie jest państwowym językiem jedna mowa, albowiem żyją tam trzy zupełnie równouprawnione narodowości. Zupełnie taki sam stosunek zachodzi także w Austryi, gdzie wszystkie narody są równouprawnione (§ 19 zasadniczych postanowień). W tem tylko zachodzi różnica, że w Szwajcaryi narodowości: francuska, niemiecka i włoska równouprawnieniem cieszą się rzeczywiście, podczas gdy u nas nieniemieckie narody równego prawa, dawno już poręczonego, dopiero teraz dobijać się muszą. A tu jedna część niemców, ta, co zawraca oczyma ku Berlinowi, stara się jeszcze ograniczyć to równouprawnienie, domagając się uznania niemczyzny w drodze ustawodawczej za język państwowy.!.“

Wniosek lewicy, zdaniem obeznanych ze sprawą, upadnie prawdopodobnie jeszcze w komisyi, która też przejdzie nad nim niewatpliwie do porządku dziennego, zwłaszcza że sam wnioskodawca, hrabia Wurmbrand, nie wie dokładnie, co właściwie rozumieć należy pod językiem państwowym a na poczynione mu pytania nie zdołał odpowiedzieć. Ale co lepsza, że wogóle nikt z lewicy nie zdobył się jeszcze na stanowcze w tej mierze zdanie. Tym sposobem okazuje się dyskusya nad wnioskiem zbyteczną, bo byłaby bezprzedmiotową.

Prawowierni żydzi w Galicyi wydali wojnę postępowcom izraelskim. Tlejącą w popiele zapomnienia iskrę starej nienawiści rozdmuchały na nowo zbliżające się wybory do sejmu, przy których żydzi biorą zawsze żywy udział. Walkę podjazdową rozpoczęli tym razem starowiercy. Organ stowarzyszenia ich i ogniska najdzikszych przesądów p. n. *Machsike Hadath*, pismo tymże samym ochrzczone tytułem wystąpiło tak ostro przeciwko swoim postępowym rodakom, że zwróciło uwagę całej prasy galicyjskiej i obudziło czujność na knowania wsteczników. Wtym hebrajskiemi czcionkami po niemiecku drukowanym wyrazie przekonań i poglądów Herszków i Janklów galicyjskich czytamy następujące, uwagi godne słowa, skierowane do synów Baala, obcinających pejsy i odrzucających jarmułki.

„Na podstawie „Tory“—mówi Machsike Hadath—zakazali rabini wybierania was do jakiegokolwiek urzędu. Wszakże więcej niż 300 rabinów w Austryi—nie licząc wielu, którzy z rozmaitych powodów nie wyjawili swych imion i oprócz zagranicznych, których święte słowa wydrukujemy niebawem—wyraźnie napisali, że zabronionem jest oddawać na was głosy i to pod straszną klątwą. Ale ponieważ klątwa przez rząd jest zakazaną, odesłaliśmy im tymczasem ich listy, aby zaniechali klątwy a tylko dowiedli z Tory i Talmudu, że wielkim jest grzechem wybrać jednego z was, wy pędziwiatry. A ktoby to uczynił, grzech popełnia i winien jest sądu. Wszystkie ich słowa wydrukujemy następnie w jednym wielkim i strasznym tomie (in folio), aby synom Izraela wskazać drogę, po której stąpać mają, dopóki nie przyjdzie Mesyasz.“

Duchem, jaki wieje z powyższego ustępu, nacechowana jest cała odezwa, którą przedrukował natychmiast organ postępowców *Ojczyzna* a za nią inne pisma polskie. Najlepszą odprawę starowiercom dał jeden z izraelitów krakowskich, dr. Warschauer, wykazując, że artykuł *Machsike Hadathu* jest tylko jednym z objawów niestrudzonej zaułkowej agitacyi krakowskiego rabina i posła do Rady państwa Schreibera, który jest prezesem rzeczonego stowarzyszenia starowierców.

„Polski centralny komitet wyborczy —pisze *Diło*— niemało się musiał zaniepokoić temi agitacyami, skoro przy uzupełniającym wyborze ostatnich pięciu swoich członków wybrał większą część żydów, albowiem oprócz Jana Dobrzańskiego, redaktora *Gaz.*

narodowej i ks. Adama Sapiehy, przyhrał sobie samych żydów, a mianowicie kaznodzieję dra Löwensteina, Herszka Ornsteina. rabina i Michała Sawickiego, redaktora *Dziennika polskiego*, który, jak wiadomo, jest żydofilskim. Nie podlega wątpliwości, że polski komitet centralny, uzupełniając się rabinami, musiał przyobiecać żydom pewną liczbę krzeseł poselskich z okręgów ruskich..."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Grany niedawno w Teatrze Rozmaitości dramat Ohneta *Cudzoziemiec* jest sztuką efektowną i sensacyjną, jakkolwiek wolny od zbyt jaskrawych, bulwarowych efektów. Autor tego utworu zabłysnął od niedawna na horyzoncie literackim paryskim i zalecił się pewną śmiałą oryginalnością w traktowaniu przedmiotu, zresztą na różne sposoby przerabianego przez cały legion pisarzów francuskich. Utwór ten posiada istotne zalety pod względem siły i wyrazistości charakterów oraz świetnego wyzyskania scenery. Cała jego oryginalność polega na pomysłowej charakterystyce szczegółów, w które wlał autor dużo prawdy życiowej i trafnej obserwacyi. Ponieważ zwracamy bliższą uwagę tylko na te utwory tłomaczone, które z naszego stanowiska budzą zajęcie oryginalnością myśli i społeczno-filozoficznego poglądu, albo nowością artystycznej metody, a dramat Ohneta jest po prostu dobrze i jędrnie napisaną sztuką teatralną, zwykłym obrazem obyczajowym, podniesionym do jaskrawego nieraz efektu, więc nie chcemy zapełniać szpalt pisma obszerniejszą krytyką, która byłaby obojętnym dla jego celów estetycznym balastem.

W roli tytułowej wyróżniał się zaszczytnie p. Tatarkiewicz, który w akcie 3 i 5 porwał ludzącą prawdą namiętności. Dzielnie grała także pani Niewiarowska rolę rubasznej ale energicznej teściowej, p. Ładnowski odtworzył szlachetnie podobną postać męską, p. Ładnowska walczyła sumiennie z trudnościami dramatycznej roli występnej żony a panna Wisnowska nikłą postać księżnej zabarwiła wytwornym liryzmem.

Historya. W lutowym zeszycie *Revue des deux mondes* mieści się z nieznanych źródeł poczerpnięta rozprawka o królowej Maryi Gonzaga.

Odsiecz Wiedeńska nie będzie święconą w Wiedniu żadnym obchodem i zjazdem. Może dlatego, ażeby rozsławieni jej niemieccy bohaterowie nie przewracali się zawstydzeni w swych grobach.

Zmarli. Książę Gorczakow, b. kanclerz rosyjski w Baden.

— Makow, b. minister spraw wewnętrznych, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru.

— Baum, wiceprezes Koła polskiego.

— Komunduros, b. minister grecki.

— Makuszew, profesor literatur słowiańskich ua uniwersytecie warszawskim.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu X. Y. Z. Zachodzi olbrzymia różnica między powieścią a powieściowym artykułem. Pierwsza musi być dziełem sztuki, drugi jest dziełem omyłki w wyborze formy. Taką omyłkę pan popełniłeś. Bohaterowie pańscy wyglądają jak lalki, wypchane szpilkami— najzacniejszej zresztą myśli.

P. K. N. Paul Topinard *Antropologie* z przedmową P. Broca, 1 tom str. 576; cena fr. 5. Jest to jeden tom wydawnictwa Reinwalda (*Biblioteque des sciences contemporaines*).

Uczniom gimn. N. Zapytaliśmy naszego korespondduta paryskiego.

Korespondentowi Płockiemu. Opowiemy szczegółowiej po otrzymaniu dowodów.

P. L. S. Nie — książka już wyczerpana — rubel do zwrotu.

Zaściankowiczowi. Udaj się pan najprzód do *Gazety Polskiej*, która (w nr. 45) najpierwej sprawę tę poruszyła. Jeżeli zaś pan będziesz żądał od nas jeszcze jakichś wyjaśnień, to prosimy o imię i nazwisko.

Sprostowanie. W. nr 10 str. 113 szp. 3 wiersz 39 od dołu zamiast *duchów* powinno być *duetów*.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Марта 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.